

# GŁOS MISJI WEWNĘTRZNE

Rok II.

Grudzień

Nr. 12.

Cena  
30 gr



„W tym znaku zwyciężysz”

# Treść.

Z opłatkami na powitanie Bożej Dzieciny . . . . .	353
Z Niepokalaną, łaski pełną, a nie z „postępem“ — po triumfy . . . .	354
Cud . . . . .	363
Maluczki narodził się nam... . . . . .	366
Misja Wewnętrzna na tle obecnych czasów . . . . .	368
Fala pracy a remont duszy . . . . .	373
Wigilja pod dachem wroga . . . . .	375
Rekolekcje a ja! . . . . .	380
Z życia sodalicyjnego . . . . .	381
Jak powstało Apostolstwo Chorych? . . . . .	383

## „Za Głosem Marji“

z okazji Zjazdu Marjańskiego w Katowicach dnia 1. X.  
roku Jubileuszowego 1933

1. Zawiera przepiękne referaty i przemówienia
2. zawiera 12 fotografii: J. E. Ks. Biskupa, fragmenty z pochodu i z życia kongregacyj
3. przynosi cenny materiał dla kongregacyj i sodalicyj dla odczytania i omówienia na zebraniach plenarnych



4. kosztuje tylko 40 gr, przy zamówieniu więcej niż 5 egzempl. tylko 35 gr
5. zamówią wszyscy uczestnicy zjazdu i sympatycy, czciciele Marji
6. do nabycia w Sekretarjacie Akcji Katolickiej i Misji Wewnętrznej Katowice, ul. M. Piłsudskiego nr. 20, telef. nr. 34.01



## Z OPLĄTKIEM—NA POWITANIE BOŻEJ DZIECINY



*W oną nadziemską godzinę cudu wszechmocny Boskiej i ojcowskiej miłości do rodzaju ludzkiego, gdy rozlega się chórów anielskich przesłodkie pień: „Chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli...” a dziesiątki i setki milionów chrześcijan będą znowu witać radośnie przyjscie Bożego Pacholatka... gdy nieskalanej bieli puszysty kobierzec śniegowy ziemia rozściele pod Stopy Syna Bożego, w milionach dłoni zajaśnieje nieskalana biel oplatka i popłyną olbrzymią, rozlewną falą życzenia świąteczne — nasza wielka, wielotysięczna rodzina katolicka drugi raz dopiero w swem młodem jeszcze życiu staje z oplatkiem w dłoniach przed narodzonym Zbawicielem, aby Go powitać treścią serc i dusz swoich.*

*Tą wielką rodziną — to nasza Misja Wewnętrzna!*

*Przejęta Chrystusowym duchem miłości i dobrej woli, modląc się i działając po chrześcijańsku — idzie Misja Wewnętrzna coraz lepiej i coraz dalej ku odrodzeniu duchowemu diecezji katowickiej; rośnie w nowe siły misjonarzy-apostołów tego odrodzenia i zasiewa grunt śląski ziarnami Bożemi...*

*I zdaje się duszom naszym, że Sam Chrystus bierze z wyciągniętych rąk naszych oplatek, że przelamuje go z nami i mówi: „Pokój wam — ludziom dobrej woli!”*

*Raduj się więc zasłużenie wielka rodzinno Misji Wewnętrznej! Radujcie się w duchu, bracia i siostry misjonarze i misjonarki! Bo, oto „Bóg się rodzi — moc truchleje”!*

\*

\*

\*

*Poraz drugi stając z oplatkiem przed Czytelnikami, Prenumeratorami, Kolporterami, Sympatykami „Głosu Misji Wewnętrznej” i wszystkimi Członkami Misji — składa w Ich*

*i we własnym imieniu — J. E. Najdostojniejszemu Ks. Biskupowi Stanisławowi Adamskiemu, Twórcy, nieustrudzonemu i najwyższemu w diecezji naszej Przewodnikowi Misji Wewnętrznej, Prześwietnej Kurji Diecezjalnej, Prześwietnej Kapitulie, Przewielebnemu Duchowieństwu — najgorętsze życzenia Wesółych Świąt, obfitych łask i błogosławieństwa Bożej Dzieciny w dalszych trudach okolo odrodzenia i zbawienia dusz nieśmiertelnych, a przez nie także odrodzenia diecezji katowickiej; podobne też życzenia składa całej rodzinie Misji Wewnętrznej, wszystkim jej Członkom, Dobrodziejom, Propagatorom, wszystkim Czytelnikom i Kolporterom „Głosu Misji Wewnętrznej“*

*Redakcja „Głosu Misji Wewnętrznej“.*



## **Z Niepokalana, łaski pełną, a nie z „postępem“ — po triumfy.**

Kto bacznie obserwuje życie pewnej grupy współczesnych katolików, to zauważy, że wybrali sobie za patrona Nikodema ewangelicznego przed jego nawróceniem. Nikodem był uczniem Pana Jezusa, ale nocnym — nie dziennym. Jawnie nie chciał uchodzić za ucznia Jezusa. Na radzie Synhedrionu bronił Jezusa, ale tylko tyle, o ile mógł się oprzeć „na prawie“. Jako legalista wyraził się w ten sposób: „Prawo nasze nie potępia człowieka przed ustaleniem, czego się dopuścił.“ Ale gdy pojmano Jezusa i postawiono przed Kaifasza „dla ustalenia“, czego się dopuścił, Nikodem wolał zostać w domu, bo nie chciał się oświadczyć na sądzie ani za Jezusem ani przeciw Niemu.

Przyznał się do Jezusa otwarcie dopiero wtedy, gdy już Chrystus nie żył, nie zagrażał Synhedrionowi; wtedy Nikodem uczcił Go pięknym pogrzebem, po bogatym zabalsamowaniu Jego Ciała. Ów Nikodem „legalista“, to wzór katolików-dyplomatów... ludzi tysiąca obaw... tysiąca względów dyktowanych „ludzka roztropnością“ z jawną szkodą spraw Bożych.

To ci katolicy, którzy chętnie godzą się na usunięcie religji z polityki... ze sztuki, z nauki, z handlu, ze szkoły... to protektorowie rozdziału Kościoła od państwa. Oni to radzą, by dla „świętego spokoju“ Kościół zniszczył swe fortece, połamał broń, bo wtedy, ich zdaniem, nie będzie miał świata przeciw sobie, jak ma każdy uzbrojony.

Katarzyna Emmerich widziała raz w objawieniu nasz Kościół jako wspaniałą katedrę, do której dostęp był unie-  
możliwiony, gdyż przed główną bramą była przepaść. Za tą  
przepaścią stały masy ludu, które koniecznie chciały się  
dostać do katedry.

Księża wpadli nagle na dziwny pomysł. Oto poszli do  
wielkiego ołtarza marmurowego i zaczęli go rozbierać i bu-  
dować pomost nad przepaścią. Pomysł udał się. Marmuru  
z ołtarza starczyło — lud z okrzykami radości przebiegał  
pomost i wnet zapełnił całą świątynię, — ale ci, którzy stanęli  
najbliżej ołtarza zauważyli, że świątynia przestała być świą-  
tynią, gdyż księża w zapale gorliwości o ogromne masy ludu  
rozebrali nie tylko ołtarz, ale i Tabernakulum — a bez Ta-  
bernakulum świątynia nie jest świątynią — najwyżej wspa-  
niałym pałacem o kształtach świątyni.

To widzenie Katarzyny Emmerich jest znakomitą ilu-  
stracją i przestrogą dla tych „gorliwych katolików“, którzy  
chcą przyspieszyć nawrócenie całego świata przez upostę-  
powienie Kościoła, które to upostępowienie ma się dokonać  
kosztem Kościoła przez zrobienie ustępstw socjalizmowi, leni-  
nizmowi i masonerji w myśl nie na miejscu użytego przy-  
słowa: „lepszy drewniany pokój, niż złota wojna“. Chcieliby  
jeśli już nie przymierza między Chrystusem a Lucyferem, to  
przynajmniej „wieczystego rozejmu“, albo już w ostateczności  
„Międzywyznaniowości“, na wzór III-ciej Międzynarodówki  
Lenina.

Zbyt to wszystko grubemi a piekielnymi nićmi szyte, by  
nie zauważyć w tem jako krawca tego, którego Chrystus na  
puszczy przepędził od Siebie: „Idź precz, szatanie...“ —  
Przegrał szatan z Chrystusem, więc chce teraz wygrać  
z Kościołem za pośrednictwem katolików postępowych,  
zarażonych modernizmem, przez których próbuje ostatniej  
walki — formami najnowocześniejszych zdobyczy naukowych  
na polu ekonomji, socjologii, dyplomacji, racji stanu, polityki  
i innemi olśniewającemi frazesami — dlatego głośno brzmia-  
cemi, że w tym wypadku puste.

Tę nowoczesną walkę zaczął od tego, że chciał „powagą  
wiedzy“ uczonych przeszkodzić ogłoszenie dogmatu Niepoka-  
lanego Poczęcia — a gdy mu Matka Boża starła łeb, chciał  
za wszelką cenę utracić dogmat Nieomyślności Papieża, a gdy  
i tu klęskę poniósł, chytrze wymyślił hasło „upostępowienia“  
Kościół przez wstrzyknięcie mu modernizmu.

Pokonany kusiciel Chrystusa z puszczy chce, by Kościół  
postarał się o większą styczność ze ziemią — w tem zna-  
czeniu, że wreszcie raz powinien przyjąć ustrój więcej  
świecki — demokratyczny, stosując się do ogółu państw. Nie  
chodzi tu o ustrój jako taki, tylko o to, by Kościół złożył  
pokłon nie tylko demokracji, ale i ochlokracji leninowskiej,

jak to uczyniła sekta prawosławna t. zw. żywa cerkiew... a u nas w Polsce marjawici, którzy walą pokłon Leninowi i wyuzdanej Wenerze.

Kościół katolicki umie zgiąć kolano, owszem, ale tylko przed Bogiem — przed nikim więcej.

Gdyby Kościół zgodził się na zmianę swego ustroju wewnętrznego nadanego mu przez Jezusa, gdyby oparł swe rządy na osławionych sejmach ustawodawczych, na wzór świeckich państw, to w tej chwili przestałby być Kościołem Jezusowym, bo otworzyłby naościę bramy anarchji, stałby się świątynią nowoczesnych bożków, bałwochwalstwa, władzy, wiedzy, złotego cielca, tyranki mody i rozpusty. Żywą ilustracją tego i głośnem potwierdzeniem to sekta marjawicka w Polsce — jak ongiś krzyżacy.

Do czego doprowadzają ciągle zmiany ustrojów państwa, to znamy z historii. A obecnie jesteśmy świadkami, do czego doprowadziła demokratyczna forma rządów z parlamentaryzmem, do niedawna tak zachwalana — jako jedynie zbawcza, niosąca we wszystkie państwa gałązkę oliwną pokoju, owszem raj na ziemi, — a dziś patrzymy już na jej konanie i widzimy, że zdążyła wcześniej zbankrutować niż się rozwinęła.

No, bo i jakież ratunek miał dać schorzałym państwom np. prosty, poczciwy wieśniak czy robotnik, nie umiejący nawet wymówić słowa parlamentaryzm i zgoła nie wiedzący, co to jest demokratyzm i ledwie jako tako dający sobie radę z własną chałupiną czy rodziną — gdy najwytrawniejsi politycy, znający nawskroś prawa i arkana rządzenia państwami, jakież fatalne robią błędy i pociągnięcia.

Chłopek czy robotnik wybiera tego, kto mu najwięcej obiecuje, zaś obiecujący dlatego wiele przyrzeka, że wie, iż niczego nie dotrzyma.

Ukoronowaniem przeżytej, konającej demokracji, to dopuszczenie do głosowania kobiet (oj, syknie tu niejedna Czytelniczka — ale mi to pióra nie wytrąci), przez co bezowocna i wręcz szkodliwa gadatliwość sejmowa o rzeczach, na których się bardzo mało albo nic nie zna, została przeniesiona na tereny ognisk domowych i dokonała tam rozbicia resztek spokoju domowego już i tak wielu innymi chorobami „współczesnego postępu“ toczonego.

Głośno może niektórzy nie przyznają temu zdaniu racji, ale pocichu napewno...

I mimo to chce się koniecznie i na terenie Kościoła przeprowadzić emancypację kobiet, by i tam zrealizować owe szkodliwe powiedzenie „światem rządzą mężczyźni, a mężczyznami kobiety“.

Ale możemy być spokojni, bo na taki eksperyment, jakiego niechlujnie dokonał osławiony marjawita Kowalski

z kobietami, które obdarował godnością aż biskupią — naturalnie teatralnej i błazeńskiej wartości — Kościół katolicki nie pójdzie.

W Kościele katolickim Boże zdanie, rozkazujące: „niech kobieta milczy w Kościele“, będzie tak stanowczo przestrzegane, jak stanowczo brzmi. Rządów fartuszkowych w Kościele nigdy nie będzie — choćby wszystkie emancypantki podniosły bunt i zagroziły wystąpieniem z Kościoła.

Prawda, że w kościołach naszych ambona stoi po stronie kobiet zazwyczaj, ale dlatego właśnie kobiety powinny lepiej widzieć, kto z tej ambony przemawia i kto ma aż sakramentalne posłannictwo od Chrystusa i tak wielkie pełnomocnictwo, jakiego żadna istota stworzona nie posiada — pełnomocnictwo występowania na tej ambonie w imieniu samego Boga w myśl Jego słów: „kto was słucha Mnie słucha“.

Ani sejmowładztwo, a już tem mniej „panie domu“ nie zostaną nigdy dopuszczone do decydujących rządów w Kościele — bo tego stanowczo zabrania Boska Konstytucja, która chyba przez ludzkie paragrafy, choćby najbardziej postępowe, nie może być poprawiana — a zwłaszcza, gdy te paragrafy zmieniają się i w najpostępowszych państwach nieraz szybciej, niż pory roku — gdzie po smutnych doświadczeniach „rządów wszystkich“ nastają rządy „jednego“, rządy dyktatorskie — jako przeciwwaga dla osiągnięcia równowagi.

A tymczasem Kościół katolicki rośnie i rozwija się — dzięki tylko — Boskiemu konserwatyzmowi.

Ale mógłby się szybciej rozwijać, powiedzą uparci „postępowi“ katolicy, gdyby się liczył więcej z nowoczesną wiedzą świecką. Hm, niby poważna rada, tylko nie dla Kościoła.

Już raz w rozprawie p. tyt. „A jak to tam z ciemnotą księży“ w naszym „Głosie Misji Wewnętrznej“ w nr. 7 rok I str. 211, wykazaliśmy zasługi Kościoła i duchowieństwa na polu wiedzy — zasługi tak wielkie, o jakich świecka wiedza marzyć nie może.

Jednak rejestrując tam same fakta — wcale nie mieliśmy na celu wykazywania, że w tem jest główna zasługa Kościoła, iż przodował i przoduje na polu wiedzy, bo gdybyśmy tylko ten cel mieli — to skrzywdzilibyśmy ten Kościół niebywale. Dlaczego? — spyta ktoś ze zdumieniem.

Otóż dlatego, że Chrystus, zakładając Kościół, wyznaczył mu inny cel. Cel ten znakomicie określa św. Augustyn: „Syn Boży stał się na to człowiekiem — by człowiek — stał się Bogiem“.

A więc cel Kościoła — to nie zdobywanie dyplomów naukowych od ludzi, ale od Boga za przebóstwanie dusz ludzkich... „Cóż pomoże człowiekowi choćby cały świat zdobył, a na duszy szkodę poniósł?“

Kto podnosi zasługi Kościoła tylko z tej racji, że Kościół najwięcej przyczynił się do podniesienia cywilizacji, kultury, nauki, sztuki itd., a świadomie przemilcza teren życia duszy, a zwłaszcza zagadnienie istoty życia duszy czyli Łaski Poświęcającej — ten bardzo wielką krzywdę wyrządza Kościołowi... i wogóle nie ma pojęcia, czym jest Kościół i jakie jego posłannictwo.

Raz na zawsze zapamiętajmy sobie, że teren pracy Kościoła — to dusza — i Bóg w tej duszy — bo „cóż pomoże człowiekowi...”

Wbijmy sobie głęboko aż na samo dno mózgu ten pewnik, że wzrost Kościoła nigdy nie był i nie będzie zależny od wiedzy świeckiej i doświadczenia ludzkiego — bo ma za sobą wiedzę aż Boga Samego.

Właśnie wtedy najszybciej będzie się rozwijał Kościół, gdy będzie bezlitośnie rugował wszelakie naleciałości, jakie chcą do niego przyczepić nawet „uczeni” a zmodernizowani katolicy — a trzymać się tylko będzie nakazów swego Założyciela Jezusa.

Pan Jezus, powołując Apostołów, najświadomiej pominął szeregi uczonych rabinów, doktorów i biegłych w piśmie — a zwrócił się do prostaków — i tych prostaków nie wysyłał do Aten na kursa filozofji, Platona czy Arystotelesa — tylko w ich surowych umysłach gruntował teologję nie tyle teoretyczną, jak praktyczną, czynną, życiową — którą im wykladał przez trzy lata, najpierw własnem życiem i przykładem, a potem słowem. Nie starał się o to, by Apostołowie kończyli kursa dyplomacji czy polityki — tylko uczył ich sztuki życia z łaską poświęcająca, by już tu na ziemi zapoczątkować Niebo.

Nieba nie osiąga się wiedzą, ale Wiarą i życiem z Wiary w stanie łaski poświęcającej.

„Głupich tego świata wybrał Bóg, by zawstydzić mędrców“, powiada św. Paweł.

Brudna ropa naftowa, brudny tłuszcz dadzą piękne światło — gdy się w nie włoży knot i zapali.

Jeśli Apostołowie i pierwsi chrześcijanie bez doktoratów wiedzy świeckiej nawracali najslawniejszych mężów wiedzy i ochrzcili całą wiedzę — to znak, że i dziś Kościół może bez uczonych a nawet wbrew uczonym odnosić triumfy.

Klasycznym dowodem tego — dogmat Niepokalanego Poczęcia, ogłoszony wbrew uczonym — a potwierdzony owem epokowem objawieniem się Matki Boskiej w Lourdes ze słowami: „Jam jest Niepokalane Poczęcie“.

Cechą wszystkich Apostołów — wszystkich czasów — chcących brać udział w nawracaniu świata, mają być cnoty, nakazane przez Jezusa, a są niemi obok innych: prostota, pogarda pieniądza, dziecięca Wiara, niepokalana miłość, oży-



wiane stała łaską poświęcająca — a nie dyplomacja, nie banki, nie dyplomy ukończonych fakultetów i doktoratów zarozumiałości.

„Bądźcie prostymi jak gołębie“ — nakazuje Jezus Apostołom.

Prostota jest siłą zwyciężającą i miażdżącą wszelkie podstępny nawet najmisterniej ułożone. Dyplomacja i oszustwo zazwyczaj w pierwszej chwili zwyciężają — ale później zawsze ponoszą sromotną klęskę — przedewszystkiem, gdy staną oko w oko ze sprawami Boskimi.

Ludzie prości, naiwni t. zw. pospolicie „duże dzieci“, mogą sprawiać wrażenie nawet ograniczonych — ale ta ograniczoność to zazwyczaj pokrywa — na mądrość, która, gdy zajdzie potrzeba, okazuje się wyższą nad wszelką przebiegłość i posiada moc, która gromi najchytrzejszych i zawstydzia ich dlatego, że Jezus przyrzekł tym pomoc, którzy stosują się do Jego nakazu: „mowa wasza niech będzie tak tak, nie nie — bo co nadto jest, od złego jest“ — a to złe, to dyplomacja czyli kłamstwo. Przeciwno podstępom i kłamstwu zawsze będzie dana mądrość Boska, bo Jezus ją przyrzekł: „będzie wam dane na tę godzinę, co macie odpowiedzieć“.

Jak od świeckiej wiedzy, tak samo i od pieniądza rozwój Kościoła jest całkowicie niezależny, lepiej powiemy, że pieniądz jest raczej przeszkodą w rozwoju Kościoła. Pod tym względem Ewangelija zbyt częste i zbyt jasne przytacza powiedzenia Jezusa, które zebraliśmy w artykule p. t. „Pieniądz a człowiek, który sprzedał Boga“.

Chrystus świata nie odkupywał przy pomocy pieniędzy, przeciwnie — pieniądz tak daleko trzymał od Siebie, że się go nawet nie dotknął — a kazał go nosić jedynie synowi zatracenia, Judaszowi, innym zaś Apostołom powiedział: „nie miejcie mieszka“, ale równocześnie zapewnił ich i to Boskiem słowem zapewnił, że gdy oni i inni pracownicy Boży dobrze odrobą wyznaczone im odcinki pracy, to Opatrzność Boża pomyśli o ich zaopatrzeniu — „bo godzin jest pracownik zapłaty swojej“.

Opatrzność Boża postara się o to, by ci, którzy korzystają z ich pracy, pomyśleli o potrzebach codziennych pracowników Bożych. Opatrzność Boża sprawi to, że lud prześcigał się będzie w zaopatrywaniu Sługi Bożego, czego zresztą mamy przepiękne dowody nietylko w pierwszych czasach chrześcijaństwa, ale i dziś w czasach ciężkiego kryzysu. Jeśli lud spotka się n. p. z gorliwym kapłanem, czy świeckim apostołem, który sam szuka tylko Królestwa Bożego i to Królestwo innym niesie, promieniując iskrą Bożą, której na imię łaska poświęcająca, to lud takiego pracownika bożego wprost zasypuje wszystkim.

Rozkaz Chrystusa „nie troszczcie się co będziecie jeść, czem się będziecie odziewać...” i słowa piętnujące te troski, jako nawskroś pogańskie: „bo tego pogaństwo szuka...” — odnoszą się do wszystkich czasów, nietylko do współczesnych Chrystusowi i Apostołom.

„Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam przydane — bo Ojciec wie, że tego wszystkiego potrzebujecie.”

Dowodem tej stałej troski Boga Ojca naszego, to choćby te nasze pola, które rodzą dla nas plon nawet wtedy, gdy śpimy...

Te Boskie zdania — to nasz najpewniejszy weksel, gwarantowany aż Boskiem Słowem, które choćby Niebo i ziemia miały przeminać — nie przeminie.

Naszym bankiem, naszą instytucją ubezpieczeniową, funduszem rezerwowym, była, jest i będzie tylko Opatrzność Boża; wszelkie zaś operacje finansowe, choćby nie wiem jak uroczyście były nazywane „środkiem do celu” — z czasem staną się absolutnie celem — jak tego smutnie doświadczył Judasz, no — i jego potomstwo, zwłaszcza sekty amerykańskie, które nawet w kościołach urządzają bufety i dancingi, aby zdobyć pieniądź, bo o marjawitach lepiej nie wspominać.

No, ale powie ktoś — co to takie rzeczy pisać dzisiaj, skoro w takich czasach żyjemy, że bez pieniądza „ani rusz”, gdy już nawet przysłowie się utarło, że „pieniądz światem rządzi...”

Niestety rządzi — ale dodajmy małe pytanie: czy dobrze rządzi? A dalej nie zapominajmy o tem, my katolicy, że naszym obowiązkiem jest podnoszenie świata do ideałów Chrystusa — a nie obniżanie Jego nauki do błędów i załamaniań ludzkich...

Kto wątpi o możliwości podniesienia świata do ideałów Ewangelji, ten musi sobie jasno powiedzieć, że nie dowierza Chrystusowi — choćby codziennie komunikował.

Jakoś tak trudno nam przychodzi wyobrazić sobie świat bez panowania w nim pieniądza — tak trudno, jak trudno było naszym przodkom uwierzyć przepowiedniom Verne'go, że człowiek będzie mógł latać w powietrzu z ptakami — przebywać całymi godzinami pod wodą z rybami — rozmawiać na miliony kilometrów, a nawet widzieć — a dziś, gdy mamy aeroplany, łodzie podwodne, radio, aparaty telewizyjne; to już te niemożliwości są możliwe. Gdy więc ludzkie marzenia są ziszczalne, toby Boskie Słowa, za którymi stoi Wszechmoc Boża, miały zostać nieziszczalne?...

Świat dotąd się nie wyleczy, póki nie obali tyranji pieniądza, który jest królem materializmu i sprawcą kryzysów, wojen i t. d.

A więc miast wątpić, brać się raczo a szybko do robienia u siebie porządku z pieniędzmi, gdy się go nieporządnie umiłowano. Pamiętajmy, że kluczem ukutym z ukochanych pieniędzy jeszcze nikt Nieba nie otworzył; „łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi do nieba“ — a więc „nie miejcie złota ani srebra“, zakazuje stanowczo Jezus i dodaje słowa przestrogi: „gdzie skarb twój, tam i serce twoje“. Bogactwa pieniężne najpotworniej opanowują duszę — ciężar złota czy srebra najmocniej przykuwa duszę do ziemi — blaski tych metali najbrutalniej odrywają nasze oczy od blasków prawd Bożych, zawartych w Ewangelji.

Jest to rzeczą dowiedziona, że ubodzy nigdy nie wierzą bogatym, bo nie mogą się w nich dopatrzeć Chrystusa.

Przeciwnie, gdy się spotkają z byłymi bogaczami, którzy się stali dobrowolnie biednymi i świecą przykładem dobrowolnego ubóstwa, noszącego przytem rysy zadowolenia, ten przykład najwięcej pociąga, najwięcej przekonywuje, nawraca.

Bogaci katolicy, chciwcy pieniądza, najstraszliwiej utrudniają i opóźniają rozrost Kościoła, bo najbardziej zwalczają podstawowe zasady ewangelicznego ubóstwa.

Apostołowie, wędrujący bez mieszkań z rozkazu Chrystusa, ubodzy jak samo ubóstwo, a prości jak dzieci — niosący największe bogactwo, bo aż Boga do dusz, a z Nim jedynie prawdziwą radość życia — to wzór na wszystkie czasy dla tych, którzy pragną szczerze przyśpieszenia rozwoju Kościoła.

Wszystkie dzieła Boże wyszły z tego samego Słowa Bożego, które wypełnia naszą Ewangelję, które powołało do bytu światy a powołało je bez banków, bez kas pełnych — to samo Słowo Boże zapewnia nas o Opatrzności Bożej.

Wszelkie dzieło Boże właśnie po tem poznajemy, że jest Boże — że z niczego powstało; tak powstały dzieła św. Biedaczyny z Assyżu, tak św. Wincentego à Paulo, błogosławionego Jana Bosko — a u nas Brata Alberta, ks. Markiewicza i wiele, wiele innych.

To żywe ilustracje, żywe dokumenta, że Bóg umie dotrzymać słowa, i że Jego Opatrzność zawsze działa, gdy Jej nie przeszkadzamy naszym niedowiarstwem.

Niestety zdarza się to nawet zbyt często, że w Kościele katolickim posiew chciwości judaszowskiej wydaje zatrute plony — że są w nim osoby, które namiętnie gromadzą pieniądze — ale tych Kościół nie każe naśladować, nie pochwala, nie stawia za wzór, nie kanonizuje, ale tak traktuje, jak Chrystus Judasza...

Zdarza się niestety, że pełnomocnicy Boży i przodownicy naznaczeni aż osobnym Sakramentem — nie zawsze godnie i dobrze wywiązują się ze swego posłannictwa — ale

temu, kto jak kto, ale nigdy Kościół nie jest winien, a już tem mniej Sakrament kapłaństwa.

Tutaj bodaj że decydująca winę ponoszą nasi katolicy i katoliczki, którzy nieraz niebo i piekło poruszają, by zdolny a dobry ich syn, czy kuzyn, broń Boże, nie zaciągnął się w szeregi kapłańskie.

Większość zwłaszcza inteligencji katolickiej chce, by do stanu kapłańskiego wstępowały tylko same miernoty, które się nie nadają do zrobienia „karjery świeckiej“ — a potem wymagają od tych miernot uniwersalnych rzeczy — a w dodatku utrudniają im pracę złośliwą krytyką i ośmieszaniem ich.

Ale, że Boską instytucją jest Kościół, więc mimo wszystko rozwija się wspaniale — tylko, że to wcale nie rozgrzesza tych katolików, którzy śladem zbrodniczego Kaina tylko to, co najmniej warte, chcieliby posyłać do Pańskich Ołtarzy.

Reasumując to wszystko i naświetlając promieniami Chrystusowej Ewangelji, widzimy jasno, że ani zmiana ustroju w Kościele, ani świecka wiedza, ani pieniądz, który tak fatalnie rządzi światem jako ambasador szatana, nie są czynnikami tak decydującymi o szybkim rozwoju Kościoła, jak sobie wyimaginowały głowy katolickich „postępowców“, toczonych chroniczną chorobą modernizmu.

Kto szczerze pragnie rozwoju Kościoła Chrystusowego i uratowania całej ludzkości, niech się zabierze przedewszystkiem do propagandy Unji Łaski Poświęcającej, która jest decydującym czynnikiem naszego zbawienia, jak nas uczy szósta prawda Wiary. Powszechna Unja Łaski Poświęcającej jest dziś najpotrzebniejsza w świecie. Ona uleczy świat bez Ligi Narodów, bez Konferencji Rozbrojeniowej.

Na terenie Kościoła niema bezrobocia — zatem wszyscy do pracy! Zaczniemy raz przeciw katolicyzm zdobywczy — odrzucimy obronny, gdyż zdobywczy jest on ze swej istoty, bo taki założył Chrystus.

Do pracy — do walki zdobywczej — pod wodzą Jezusa i Niepokalanej, Łaski Pełnej! Do pracy! zwłaszcza członkowie Misji Wewnętrznej!

Ks. J. Cz.



## Cud.

Było to w Wigilię Bożego Narodzenia. Spożyliśmy właśnie wieczorną ucztę i z cygarami zasiedliśmy przy kominku, aby pogwarzyć swobodnie. Stary miód, wydobywany z piwnicy tylko w uroczyste święta, wszystkim rozwiązał języki; każdy opowiadał jakieś zdarzenie ze swego życia, aż wreszcie przysłała kolej na doktora, dawnego przyjaciela domu.

— Jeżeli państwo chcecie, to opowiem wam cud, jaki widziałem na Boże Narodzenie.

— Cud? Ty, doktorze, znany jako sceptyk, wierzysz w cuda? — zawołano chórem.

— Mogę być sceptykiem, a jednak mogę wierzyć w to, co własnymi oczyma widziałem.

Wszyscy z zaciekawieniem przysunęli się do niego, on zaś w te słowa zaczął opowiadać.

Było to w początku mojej praktyki lekarskiej; nie mając żadnych widoków powodzenia w stolicy, biedny i nieznany, osiedliłem się w zapadłym kącie na prowincji. Zima w tym roku była straszna, niepamiętna. Już w listopadzie mrozy ścisnęły ziemię, wkrótce potem od północy zaczęły nadciągać szare chmury, z których prawie bez przerwy sypały się na ziemię białe płatki śniegu. Jedna noc wystarczyła, ażeby świat cały zasiać śnieżną, puchową powłoką, ale to był dopiero początek. Przez cały tydzień słońce nie wyjrzało z poza chmur siwych, wiatr ustał zupełnie i wśród tej ciszy złowroziej słychać było jednostajny, nieubłagany szelest padającego śniegu. Drobne, srebrzyste gwiazdeczki leciały z zaciętością i wytrwaniem, jak gdyby chciały wszystko otulić białym całunem. Wszędzie było posepnie, cicho, martwota śmierci ogarnęła ziemię i niebo, tylko od czasu do czasu stado czarne wron i kruków zarysowało się na widnokręgu, kracząc wrzaskliwie.

Kiedy po tygodniu ustała śnieżna zamieć i słońce z poza ciemur wyjrzało, trudno było rozpoznać okolice. Śnieg zasypał wszystkie drogi, sięgał wyżej płotów i dochodził niemal do strzech wieśniaczych. U nas, w miasteczku, trzeba było kopać istne tunele, żeby się wydobyć z domu. Warstwa śniegu dochodziła sześciu stóp grubości.

Mieliśmy potem trzy tygodnie nieprzerwanych mrozów i pogody. Niebo było podobne do błękitnej, kryształowej kopuły, słońce świeciło bardzo jasno, choć nie grzało wcale, a kiedy zaśnięło na szklanej powierzchni śniegu, to trzeba było mrużyć oczy od blasku i białości. Nocą gwiazdy iskrzyły się na niebie jak brylanty, ale mało kto miał odwagę im się przyglądać, gdyż mróz tężał zwykle pod wieczór i oddech w piersi tamował.

Ruch ustał prawie zupełnie. Wyjeżdżał tylko ten, kto musiał, wszyscy siedzieli przy piecach, nie widząc światła Bożego przez zamrożone szyby, porysowane w jakieś fantastyczne desenie przedpotopowych paproci. Wśród przerażającej ciszy, jaka zaciężyła nad zasypaną śniegiem ziemią, odzywało się niekiedy posępne łopotanie skrzydeł wronich, złowrogi trzask pękającego od mrozu drzewa lub łamiących się pod ciężarem śniegu gałęzi.

Raz, a było to na tydzień przed Bożem Narodzeniem, przysłano po mnie sanie z sąsiedniej wioski. Zimno przejmowało do szpiku kości, przeto otuliłem się w futro, nogi schowałem w słomę i pojechałem. W drodze dowiedziałem się od parobka, po co mnie wzywano; djabeł opętał kowalona i takie z nią wyprawiał dziwy, że musiano ją związać, bo czterech ludzi nie mogło jej utrzymać. Napróżno baby zamaływały, napróżno mądry owczarz dawał leki, wszystko na nic się nie zdało. Proboszcz wreszcie poradził, żeby po mnie posłano. Kowal usłuchał, choć kumy kiwały głowami.

Z wielkim trudem dobiliśmy się do wioski; obłok pary otaczał konie, a ja miałem sople lodu na wąsach. Dojeżdżając do chaty kowala, usłyszałem z daleka nieludzkie wrzaski. Parobek przeżegnał się z przestrachu i objaśnił mi, że to opętana tak krzyczy. Wszedłszy do izby, ujrzałem na łóżku związaną kobietę, która pienila się i ciskała w okropnych konwulsjach, rycząc jak zwierzę.

— Djabeł we mnie siedzi! — krzyczała strasznym głosem. — Djabeł we mnie siedzi!

Od czasu do czasu to ta, to owa baba wsuwała blada twarz do izby i zaraz uciekała przerażona.

Na pierwszy rzut oka poznałem, że mam do czynienia z warjatką. Zarządziłem odpowiednie środki, ale przekonałem się, że najmniejszej nie przyniosły ulgi. Medycyna okazała się w tym wypadku bezsilną.

Miałem już wyjeżdżać, kiedy przybiegł chłopak od proboszcza, prosząc, żebym wstąpił na plebanję. Uczyniłem za dość temu żądaniu, i za chwilę siedziałem naprzeciw księdza na czarnej, włosieniowej kanapie.

— Mam pewien plan co do biednej kowalowej — rzekł do mnie proboszcz, nieco zgarbiony, ale czerstwy staruszek. — Chciałbym, żeby była na Pasterce. Może Bóg w łasce Swojej uczyni cud i uzdrowi nieszczęśliwą kobietę.

— Owszem, można spróbować tego środka, choć wątpię o jego skutku — odpowiedziałem; — nabożeństwo wywrze na nią wrażenie, to pewna, ale żeby ją wyleczyło, trzeba istotnie cudu.

— Pan nie wierzysz w cuda? Ha, wy młodzi w nie teraz nie wierzycie... Ale w każdym razie mogą liczyć na pańska pomoc, nieprawdaż?

— Najzupełniej, księże proboszczu.

Wieczorem, po Wigilji, wsiałem do sanek i ruszyłem na wieś. Zdala już usłyszałem donośny głos dzwonu, zwołujący wiernych na Pasterkę; płynął po równinach, zasłanych śniegiem, a ginał gdzieś daleko pod ciemnym, sosnowym borem. Udałem się prosto do chaty kowala i zastałem żonę jego w największym paroksyzmie obłąkania. Przy pomocy czterech ludzi zdołano ją ubrać czysto i pomimo jej oporu zaprowadzić na plebanję. Zamknąłem ją tymczasem w kuchni wraz z dozorcami, a sam udałem się do kościoła, czekając stosownej chwili, aby wprowadzić warjatkę.

Msza właśnie się zaczęła; rzesza ludzi, skulonych w kożuchy, napełniła drewniany, wiejski kościółek. Organy brzmiały fortissimo, organista jak mógł najgłośniej wyśpiewywał radosne kolędy.

Zajęty nabożeństwem i wspomnieniami z lat dziecinnych, kiedy z rodzicami bywałem na Pasterce, zapomniałem zupełnie o biednej warjatce; w tej chwili dopiero przyszła mi na myśl. Po wysłuchaniu Ewangelji poszedłem po nią.

Kiedy weszła do kościoła i zobaczyła ołtarz oświetlony, a przed nim księdzę w złocistym ornacie, krzyknęła okropnym głosem i z taką siłą zaczęła się wyrwać, że czterech ludzi ledwie zdołano ją przytrzymać u stóp ołtarza. Popłoch zapanaował w kościele.

— Opętana! Opętana! — szeptano z przerażeniem, usuwając się jaknajdalej.

Nagle umilkła muzyka i śpiewy, od ołtarza zabrzmiał srebrzysty głos dzwonka, zwiastujący chwilę Podniesienia. Wszyscy, jak jeden człowiek, padli na kolana i kajali się przed Bogiem. Ona wyła i rzucała się w paroksyzmie szaleństwa, ale nie mogła oderwać oczu od Hostji.

W dłuższą chwilę potem kapłan wymawiał z namaszczaniem:

— Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzechy świata!

Mimowolne wzruszenie ogarnęło i mnie, zimnego sceptyka, ugiąłem kolano i drżącemi ustami powtarzałem za ludem: Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja.

Lud modlił się za nieszczęśliwą.

Trwało to krótko, a mnie tymczasem serce silnie biło jak młotem i oddech zamierał w piersi.

Kobieta stopniowo się uspokoiła i przestała krzyżeć, choć trzęsa się jeszcze konwulsyjnie. Ciało jej traciło szty-

wność, wykrzywiona twarz odzyskała zwykły wyraz, błędne oczy patrzyły teraz przytomnie. Umilkła zupełnie i nagle spostrzegłem, że powieki jej zamykają się. Ona, co od tygodnia nie zmrużyła oka, usnęła teraz u stopni ołtarza. Chrystus dokonał cudu i wrócił świadomość nieszczęśliwej warjatce.

Wyniesiono ją z kościoła, a wtedy ksiądz zaintonował uroczyste *Te Deum*. Kościół cały rozbrzmiał śpiewem dziękczynnym, do którego i ja swój głos przyłączyłem. Z. S.

„Biesiada Literacka“ — 1892, nr. 52.



## Maluczki narodził się nam ...

Kiedy słyszymy te słowa, przed oczyma naszej duszy jawi się wizja nocy betleemskiej. Rozlega się radosny śpiew anielskich chórów, okrzyki zdumionych pasterzy, widać blask cudownej gwiazdy nad stajenką. Świadomość niezrównanych tajemnic, jakie się tam rozgrywają, przytłacza myśl, uskrzydla serce. I razem z pasterzami chylą się głowy, zginają kolana w adoracji przed Dzieciątkiem i Matką jego.

*Bóg się rodzi, moc truchleje,  
Pan niebiosów — obnażony.  
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,  
Ma granice — Nieskończony...*

Przedziwny jakiś czar rozlewa się na serca corocznie z tego źródła — przeżywania pamiątki Bożego Narodzenia.

Boże Narodzenie to nie tylko fakt historyczny, który zaszedł przed XIX-tu wiekami w zapadłym miasteczku Palestyny.

Ten fakt trwa na wieki!!

Dziś już niepodobna wyobrazić sobie świata bez tej maleńkiej Dzieciny w żłóbku. Potężne, niewstrzymane niczem źródła łaski i życia wytrysnęły z Jej serduszka na świat cały. I odczuły to wszystkie narody. W procesji, niedokończonyj jeszcze, popłynęły ze wszystkich stron do stóp ubożuchnego pacholecia. Hasło, rzucone przez pasterzy w ową noc cudu, miało tysiąckrotne echa: „Pójdźmy do Betlejem!“ Na serca,



które usłuchały tego wezwania, spływała radość wieczna, a z serc, które się mu oparły, wydiera się szloch wiekuisty...

Zwiastując narodzenie Zbawiciela świata, mówił anioł: „Oto dziś narodził się wam w mieście Dawidowem...”

Jakie to dawne czasy!

A jednak jakże bliskie nam owo „dziś”... Zdaje się, że słyszymy anioła mówiącego do nas: „Oto dziś narodził się wam Zbawiciel świata” i widzimy Maleńkiego, jak wyciąga do nas rączki z uśmiechem miłości, że Mu Matka Dziewica przy nas śpiewa:

*Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj!...*

Uczucie żywej wiary ma moc odsuwania i przybliżania wieków.

Boże Narodzenie to nie tylko fakt historyczny, to także dziś rzeczywistość żywa. Do czego tęskni serce, uczucie, to staje się dziś udziałem naszym. Nie potrzebujemy wędrować hen, w odległe wieki, bo każdego dnia możemy powiedzieć z całą prawdą, powtórzyć te cudowne słowa: „Maluczki narodził się nam!” Ołtarz i patena złocista są dlań żłóbkiem i siankiem. I wszystko niemal tak się odbywa, jak w ową noc Betlejem. O północy, wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi z wieżyc podniebnych. I słyhać chóry, które nuca: „Gloria in excelsis Deo!” — Chwała na wysokości Bogu! — I ręce kapłanów, które mają być nieskalane, jak ramiona św. Józefa, biorą z ołtarza Maleńkiego i podają Go do serc stęsknionych. A On z takim samym do nich upragnieniem śpieszy, jak w objęcia pastuszków i trzech mędrców ze wschodu...

Maluczki więc narodził się nam... i dzisiaj także! Na ołtarzu naszej świątyni, na ołtarzu naszego kościółka, co może niekiedy przypomina stajenkę swym wyglądem, narodzony dla nas spoczywa. „Pójdźmy do Betlejem!” do domu Bożego Chleba! Gdziekolwiek tylko kapłan nuci swe „Gloria”, tam inauguruje uroczystość Bożego Narodzenia!

Jak umiemy uczuciem i żywą wiarą zbliżyć ku sobie dalekie zdarzenia z przed wieków XIX-tu, tak umiejmy, wnikać całym sercem, całą duszą w to tak bliskie dla nas, codzienne Boże Narodzenie.

Jaki to wzruszający widok, gdy o szarej godzinie poranku, w półcieniu naw kościoła, w jarzącym blasku światła na ołtarzu, przy cichym wtórze jakby z zaświatów płynącego głosu organów, wznosi się ku niebu Hostja biała. W kornym hołdzie pochylone szeregi wiernych wszelkiego stanu i zawodu, klęcząc witają Boże Dziecię, zamiast pieluszek spowinione w zasłony opłatka. Widzą światła, słyszą śpiewy, żegnają znikającą noc. A gdy odchodzą do domu, zdają się unosić w duszy echo melodji, która ośnuła się dokoła żłóbka:

„Wstańcie, pasterze, Bóg się wam rodzi!“ Jakoż istotnie... Przed chwilą przeżywali to Boże Narodzenie w swej duszy!

Mogą teraz iść, dokąd tylko zechcą... Do szkoły, do warsztatu, czy sklepu, mogą spuścić się w głąb ziemi, albo na skrzydłach wzbić się w powietrze, mogą nużyć się i męczyć w huku maszyn po fabrykach, czy też trudzić około pracy codziennej w domowym zaciszu, nic to!

W ich duszy dziś święto wielkie: — Boże Narodzenie! W ich sercach drżą tony nieprzebrzmiałe pieśni zaświata, a w tętnie gorącym utrudzonego ich ciała tętni puls żywy — Serca Zbawiciela. Cały dzień towarzyszy im anioł, zwiastun bożych radości i ogłaszać się zdaje: „Oto dziś się wam narodził Zbawca świata w mieście Dawidowem“.

Wiara nas poucza, że „maluczki narodził się i nam“ i czeka dziś naszego hołdu. Codzień, co godzina, co pół godziny. Mniej więcej co pół godziny 6000 kapłanów na stopnie ołtarza wstępuje, by wznieść nad światem Utajonego w Hostji świętej. To Boże Dziecię przybywa, przynosząc pokój niebiański dla każdej duszy dobrej woli...

O gdyby tę prawdę wiary chcieli zrozumieć wszyscy katolicy! Gdyby zechcieli usłyszeć ten dla uszu powierzchownych nieuchwytny głos: „Pójdźmy do Betlejem!“ Do naszego Betlejem, Domu Chleba Bożego, który może tak blisko wznosi swe ściany, bo tuż obok domów naszych. Pasterze betlejemscy natychmiast udali się w drogę, jeden drugiego przynaglając, zachęcając, nie tracąc ani chwili czasu na wahania, odkąd poznali, że Bóg ich woła...

I my poznajmy, zrozumiejmy głębiej tę prawdę podczas tegorocznych świąt Bożego Narodzenia, że „maluczki narodził się nam“... I dziś... i codzień... Bez wahania zatem, na wzór pasterzy: „Pójdźmy do Betlejem!“

**Jan Czar.**



## Misja Wewnętrzna na tle obecnych czasów.

Wykład, wygłoszony na akademji Misji Wewnętrznej w Królewskiej Hucie  
dnia 15 października 1933 r.

Gdy kiedyś po kilku latach historycy będą opisywać epokę, w której obecnie żyjemy, nazwią ją bez wątpienia epoką techniki i postępu w dziedzinie materialnej — albo krótko epoką maszyn. Istotnie, już my, obecnie żyjący, z podziwem niekłamany patrzymy na niesłychany rozrost, jaki od stu lat mniej więcej zgórą wzięło życie materialne,

rozrost, który ciągle jeszcze dąży w górę i którego końca jeszcze dziś przewidzieć nie możemy.

Wielkich przeobrażeń dokonała maszyna w naszym życiu społecznem.

Przyśpieszyła tempo życia do takiej szybkości, o jakiej świat dawniej nawet marzyć nie mógł.

Nadstawiła ręce ludzkości tak, że zapomocą maszyny ludzie dziś mogą wykonywać dzieła wielkie i potężne w krótkim stosunkowo upływie czasu.

Podniosła stopę życiową, to znaczy: dała szerokim warstwom możność nabywania rzeczy, które dawniej były tylko przywilejem jednostek. Złączyła ludzi ściślej ze sobą; tam, gdzie ona zapanowała, powstały wielkie skupiska ludzi, miasta przemysłowe.

Rzuciła pomosty ponad państwami i granicami, ujednoliciła zwyczaje i sposoby życia całej ludzkości. Wielką i szczerą dobrodziejką stała się ona dla nas, bo wiele nam przyniosła wygód.

Z biegiem czasu jednak człowiek, pan i stwórca maszyny, z przerażeniem stwierdza fakt, że maszyna potężnieje coraz bardziej, że wyrasta mu ponad głowę, że go szarpie i niszczy. Ostatecznie maszyna — pani wielmożna — całkowicie czyni z człowieka sługę swego, odrzuca go od siebie i rzece: „ja tu panuję, precz stąd, niepotrzebny już jesteś, obędę się bez ciebie“. Tysiące i krocie tysięcy bezrobotnych patrzą błędem okiem a często i z zgłodniałym żołądkiem na tę okrutną walkę, która się toczy między maszyną a człowiekiem. Oni tę walkę odczuli najdotkliwiej, najgłębiej, na własnej skórze, chociaż jej może wcale nie rozumieją.

Pytamy się dziś wszyscy, jakże się to stać mogło, że to, co tak długo dla nas było dobrodziejstwem, teraz stało się dla wielu przekleństwem? Zniszczyć ją! — wołają niektórzy, — zniszczyć, dopóki ona nas nie zniszczyła zupełnie i nie zniszczy bogactw i żywności, które daje ludzkości naturalna jej matka, z i e m i a.

Stójcie, szaleńcy, wstrzymajcie się, — nie tędy droga! Niszcząc technikę, w niwecz obrócić dorobek ludzki długich dziesiątek lat, ku większemu jeszcze nieszczęściu waszemu.

Nie niszczyć, ale reformować trzeba; nie burzyć, ale dostosować. Wyłamać się z pod jej panowania; wyjść musisz, człowiecze, z środka maszyny, wyjść prędko, bo inaczej cię zmiażdży, wyjść i stanąć znowu jako pan ponad nią, ujarzmić ją tak, by słuchała twych mądrych rozkazów, pokierować nią tak, by stała się pożyteczną dla wszystkich a nie tylko dla kilku wybranych mocnych i przebiegłych synów tego świata.

Maszyna, technika — to materja. A materja zawsze musi być poddana duchowi — tak jak w człowieku ciało powinno

słuchać na rozkazy ducha, powinno wykonywać to, co duch rozkazuje, bo on jest wyższy, tak też, powiadam, w społeczeństwie duch winien być celem, prawodawcą i panem wszystkiego; maszyna i wszystko, co jest związane z nią, cała doczesność, skierowywać się powinna w dziedzinę ducha, do gó r y.

A cóż z tem wszystkim ma wspólnego Misja Wewnętrzna? Ta Misja Wewnętrzna, która nam każe modlić się, ofiarować się za drugich, która nam każe żyć w stanie łaski uświęcającej, apostołować, odprawiać rekolekcje itd.? To tylko jakaś pobożność nadziemską, która nie ma żadnego związku z maszyną, z techniką i potrzebą jej ujarzżenia!

Przeciwnie — ma związek! Misja Wewnętrzna, to właśnie sprawa ducha, to próba, to wysiłek, by znów w społeczeństwie zwyciężył duch, duch ludzki złączony z duchem Pożym.

Misja Wewnętrzna rozkazuje ci: „Na kolana, człowiecze, naucz się znowu modlić, na kolana nie przed maszyną, przed bożkami doczesnymi, tak jak to czyniłeś długie lata, ale przed Bogiem, który jest celem Twoim ostatecznym. Jeżeli ty, społeczeństwo, nie padniesz dobrowolnie na kolana przed Nim, wtedy Bóg cię zmusić do tego może różgą Swoją, a zmusi, bo Mu nie tyle chodzi o ciebie, ile raczej o przyszłe pokolenia, którym ty większą jeszcze zgubę przygotowujesz.

Maszyna ludzi złączyła, powiedzieliśmy; złączyła ich w dużych warsztatach, w olbrzymich domach mieszkalnych i miastach, zależni są jedni od drugich. Czyż jednak to złączenie ludzi jest idealne?... Co ich łączy i skupia razem? To walka o byt, o chleb doczesny, ale ta walka o byt ich równocześnie rozbija, czyni ich sobie wrogami, obcymi, pomimo, że mieszkają obok siebie. Ani maszyna, ani też walka o byt doczesny nie łączą ludzi w jedną całość organiczną, ale ich skoszarowuje, i więcej nic. By powstał organizm żyjący, musi istnieć szlachetna walka w społeczeństwie o byt w i e c z n y, wiekuisty, nadprzyrodzony. Bez tego celu nadprzyrodzonego ludzkość przedstawia się oczom naszym jak olbrzymie mrowisko, w którym wszyscy grzebią pochyleni do ziemi. Żadnych rozkazów nie słuchają, żadnego prawa nie znają, gorączkowo grzebią — a ostatecznie ci, co są mocni, wszystko zabiorą. Społeczeństwo, w którym panują wyższe wartości, to skupisko ludzi również grzebiących w dobrach doczesnych, ale wpatrzonych wzrokiem w górę, wpatrzonych w Boga, którego rozkazów słuchają i do nich się dostosowują, tak, że mniej popełniają niesprawiedliwości, mniej krzywdy wobec słabych przy zdobywaniu dóbr doczesnych. Idea Boga ich łączy, uszlachetnia ich uczucia.

Misja Wewnętrzna chce, aby nie tylko idea Boga nas łączyła, ale Bóg sam. Kiedy nam każe przystępować do

Komunji św. jaknajczęściej, jeżeli możliwie codziennie, żyć nieprzerwanie w stanie łaski, to chce, aby społeczeństwo nie było tylko hałaśliwym skupieniem ludzi, lecz rodziną, w której jeden odpowiada za wszystkich, a wszyscy za jednego. Chce więcej Misja Wewnętrzna; chce, aby pomiędzy chrześcijanami panował taki duch, byśmy stanowili jedno ciało, którego głową jest Bóg, Chrystus, a my jego członkami, złączeni z niem łaską uświęcającą, która jest krwią żywą tego ciała.

To nie jest fikcja, to jest żywa rzeczywistość. Solidaryzm chrześcijański, solidaryzm Misji Wewnętrznej, to nie jest osławiony solidaryzm bolszewicki, albo też inne jemu podobne. Tam łączy ludzi ze sobą rozkaz twardy — a tu ma łączyć miłość, tam ludzie ze sobą złączeni są tylko kółkami mechanizmu społecznego — tu mają być bliźnimi i braćmi w Chrystusie. Gdy tam w solidaryzmie bolszewickim zepsuje się jedno z kółek mechanizmu, gdy zmarnuje się człowiek, odrzuca się go do starego żelaza, jak część maszyny. „Murzynie, spełniłeś swój obowiązek, murzynie możesz iść.“ Może go czasem umieszczają jeszcze w szpitalu, w lecznicy, ale dla społeczeństwa on staje się ciężarem, i to dobrze odczuwa, że już jest bezużytecznym na zawsze.

W solidaryzmie Misji Wewnętrznej nie ten tylko jest człowiekiem, który ma silne muszkuły, tęgi mózg, ale i ten, który jest kaleką, opuszczonym przez wszystkich, samotny, niepodobny już może nawet do człowieka; on jest człowiekiem, a to może nawet bardziej pożytecznym człowiekiem, aniżeli inni mocni, ruchliwi i hałaśliwie działający. Ów człowiek chory, niezdolny, niedołączony może — tak uczy Chrystus przez Misję Wewnętrzną — ofiarować swoje cierpienia za drugich, może się stać zbawcą społeczeństwa na wzór Chrystusa odkupującego ludzkość przez Swą mękę i śmierć, bo on jest częścią Chrystusa, jeżeli się znajduje w stanie łaski. Wzywa więc Ks. Biskup do Misji Wewnętrznej i „chorych, i starców i znękanych i nieszczęśliwych i tych, co odtrąceni od czynnego życia zdawałoby się dla ludzkości niczego uczynić nie mogą. Inaczej Bóg ocenia czyny ludzkie, inaczej ludzie.“

Początkiem złego dla ludzkości była myśl pychy szalonej, myśl podsunięta im przez szatana: „Będziecie jako Bogowie.“ Myśl ta pozostała w sercach ludzkości i nurtuje w nich nadal tak, jak pozostały skutki grzechu pierworodnego. „Będziecie jako Bogowie...“ Są epoki, kiedy ta myśl wybucha z iście piekielną siłą, ogarnia całe społeczeństwo, które strąca Boga Odwiecznego z Jego tronu i na Bożym tronie siada ono samo, ubóstwia zamiast Boga, dzieła rąk swoich. Powiada jak ów głupiec z Pisma św.: niemasz Boga. — A ocknięcie się z tego szału jest zazwyczaj dla społeczeństwa straszne —

tem straszniejsze, im później następuje. Niemasz Boga, wołają dzisiaj przedstawiciele społeczeństwa bolszewickiego. Sami jesteśmy Bogami! Smutni z was Bogowie, jeżeli już dziś, jak podobno statystyki wykazują, 85% całego społeczeństwa choruje na paskudne choroby, jeżeli przestępczość wzrosła do rozmiarów przedtem nieznanym.

A jednak i Misja Wewnętrzna chce, byśmy się stali Bogami. Jeden z Ojców Kościoła wyraźnie mówi: „Deus factus est homo, ut homo fieret Deus“.

Tak jest, aby człowiek stał się Bogiem. Lecz zbliżyć się do ideału boskiego, stać się alter Christus — drugim Chrystusem, do tego nie prowadzi żadna inna droga, jak tylko droga Chrystusa, droga ofiary za drugich, droga krzyżowa. Im bardziej ktoś pracuje z pobudek nadprzyrodzonych dla bliźnich, im bardziej się poświęca dla nich, im bardziej wyniszcza samego siebie, tem bardziej staje się podobnym do Boga. Oto droga, którą Misja Wewnętrzna chce nas prowadzić na wyżyny Boskie. Zmechanizowane życie nowoczesne wniosło w duszę ludzkości zamiast radości — smutek. To, co my dziś naogół nazywamy radością — to nie jest radość, to naogół podobne jest do szału, który od czasu do czasu wybucha — pozatem zaś istnieje przygnębienie powszechne. Nie mówię już tu o zmorze kryzysu, bo nawet gdyby kryzysu materialnego nie było, przygnębienie ogólne pozostałoby.

I jakżeby mogło być inaczej. Tam, gdzie zniknął cel życia ostateczny, tam, gdzie zniknęła wiara w górę, tam radości być nie może. Ludzkość szuka i szuka czegoś. Przypominają nam się tu słowa naszego wieszczka: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie....

O tak, zciemniło się zupełnie niebo, nadzieja ludzkości, a gwiazdy przewodniej nie widać. A jednak ona jest! Jest gwiazda przewodnia na firmamencie. Miejcie tylko odwagę podnieść głowę w górę, a ujrzycie ją tak, jak ją ujrżeli trzej mędrcy, dążący do Betleem; idźcie za nią tak, jak oni szli za jej blaskiem.

Gdy ludzkość pozna swój cel ostateczny, gdy będzie wiedziała, po co żyje na świecie, dokąd dąży, skąd pochodzi, wtedy znowu radość prawdziwa może powoli zająć miejsce w jej sercu.

Kiedy trzej mędrcy, monarchowie, doszli do stajenki betleemskiej, a ujrżeli biedne dziecię, które miało być zbawicielem świata, napewno trudno im było na początku w to uwierzyć. A jednak się upokorzyli i oddali cześć Bogu.

Nam, mędrcom tego świata, również brak wiary, wiary, że zbawieniem dla ludzkości, zbawieniem moralnem i materialnem zarazem jest biała postać Komunji świętej, którą

codziennie przyjmują do serca swego miliony i krocie milionów. A jednak nie masz zbawienia innego, jak Chrystus. Upokórzmy się, zdobądźmy się na taką wiarę mocną w Boga, jaką podziwiamy czasem u prostaczków, u małych ludzi w znaczeniu tego świata.

Brzmi to może paradoksalnie — a jednak jest prawdą głęboką: Wtedy tylko, gdy ludzkość poniży się dobrowolnie, głęboko się upokorzy, wtedy nastąpi znów początek jej wywyższenia.

Ks. Kominek.

## Fala pracy a remont duszy.

Możnaby powiedzieć, że przez kulę ziemską przelewa się z południa na północ i z północy na południe — szeroka, jak ocean, fala... fala pracy ludzkiej, szczególnie pracy na roli.

Oto właśnie na północnej półkuli plony pracowicie zebrano, a równocześnie na południowej wszystko poczyna iść ku przyszłym zbiorom. Już praca wiosenna tam wre, srebrzą się czoła kroplami potu... w Afryce, w Ameryce Południowej, w Australji, na wyspach... Podnosi się i wzbiera fala pracy.

Fala pracy! Szeroki i niezbrodzony to ocean, ogromny, bezbrzeżny!

Podnieśmy żagle i w cichej łódce myśli wpłyniemy na jego przestwory!

Pracuje wszechświat cały. Rozciągnięto wielkie krosna wszechrzeczy i nad skrońmi naszemi wre praca wyteżona, nieustanna, wspaniała. Tkają się łany błękitu. A pomiędzy zwoje niebieskiej tkaniny snują się bez przerwy, szalonym pędem, oszalałym wirem, niby łódka tkacza, co nie zna spoczynku, promienniejsze nad blask złota gwiazdy... Od zarania wieków chodzą i w złote kwiaty światów, globów, słońc, planet, w kaskady komet przetykają tę miękką, lotną szatę wszechstworzenia.

Nigdyby nie powstał i nie istniał dla oczu moich ten cud jesiennych wieczorów — lazur usiany gwiazdami bez liku — gdyby zabrakło tej międzygwiazdnej pracy, gdyby zamarła jej fala. Ona umożliwiła powstanie nieba i ziemi, ona wciąż podtrzymuje ich trwanie.

Niewstrzymanym swym prądem ogarniając, porywając gwiazdy i słońca, na ziemię także spływa potężna fala pracy.

Tu już nie potrzebuje nas uczyć astronomja, geometria, matematyka. Doskonale bowiem widzą oczy nasze, jak pracują wody rzek i strumieni, jezior i mórz. Tak swą pracą pilnie zajęte, że kropla za kroplą podąża tuż, tuż, a tak zaśpieszone, że jedna drugą zdaje się wyprzedzać, jedne przed drugie wybiegają falami. Im większe wody, tem zawziętsza

praca, tem większe nad nurty spiętrzają się fale. Niecierpliwe, rzekłbyś, natychmiast ujrzeć pragną, co swym trudem dokonały na łądach.

Zaprawdę bowiem, dokonały wiele! Przy pomocy słońca i wespół z gwiazdami wody uruchomiły na świecie warsztat pracy nowej. Oto pod ich działaniem, w jakiś sposób tajemniczy, zakryty dla oczu śmiertelnych, zrywa się do pracy wyteżonej życie trzech królestw przyrody. Pracują rośliny, zwierzęta, ludzie...

Pracują rośliny. Trawy i kwiaty puszystych łąk, zboża łąków chlewnych, lasy podniebnych gór i drzewa pól, ogrodów. Bez przerwy, bez wytchnienia pracuje ta armja ssąco-tłoczących pomp — w korzeniach i korzonkach, która z gleby czerpiąc soki przetwarza je w laboratorjach chemicznych pnia i liści na bajkowe wprost cuda roślinności wszystkich stref — od równika do biegunów. Artyzm niemi się zachwyca, śpiewają o nich poeci...

*„...Widziałem piękną dolinę przy Kownie,  
Kędy rusatek dłoń wiosną i latem  
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem.  
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie...“*

(Mickiewicz: Grażyna.)

*„Od spodu zaraz, z mokrej grzezawiny  
Pędem się w górę pra okrutne haszcze  
Na rękę grubej, strzelistej w kiść trzciny,  
Po której chrzasty brzęczą i ptak klaszcze...  
Nad bagnem kwiaty w jaskrawym się pyle  
Chwieją i lecieć zdają, jak motyle...“*

*Więc kiedy słońce w te padnie komory,  
Przez zieleni sącząc się i szkliwa owe,  
Dziwnemi blaski grają one bory...*

*Właśnie, jak kiedy upadną na głowę  
Anielskie z okien kościelnych kolory,  
One widziadła lekuchne, tęczowe,  
W palmy, w gwiazdzice, w róże, jak kiedyby  
W niebie zaprawił malowane szyby.*

*Dopieroż nad tem wrzask, świsty, trzepoty...  
Ptak leci — nie wiesz, czy płomień, czy kwiaty,  
Bo jeden bywa ognisty i złoty,  
A drugi modry, jak nasze bławaty...*

(Konopnicka: Pan Balcer.)

Pod korą stuletnich drzew, w łądyżce wczoraj rozkwitłego bratka i w krzaku róży pracują i trudzą się niezrównane warsztaty, wspaniałe fabryki, tem cudowniejsze i miłsze, że pracują cicho. Nie słyhać tam huku młotów, turkotu maszyn, warczenia kół i trybów, nie przerażają ucha zgrzyty i gwizdy śrub ruchomych i pasów.



A jak w pniu roślin, jak w ciele zwierząt, tak samo i w ciele człowieka wre nieustanna praca. Nawet nie wiemy o tem, ani odczuwamy. Pracuje wciąż pompa serca, biją tętna krwi, nie ustaje w swej czynności rafinerja, czy też filtry płuc, niestrudzone jelita zasilają nasz organizm w nowe soki spożywcze.

Fala pracy, nieustannej, nieprzerwanej, bije o brzegi naszego ducha. Poucza go i nakazuje mu pracować.

Jakżeż bowiem inaczej?! Siła w wiatrach ukryta pędzi chmury po niebie i sprowadza deszcz urodzajny na pola i niwy świata, zasila źródła i rzeki — nie marnuje się bezczynnie... Potężne nurty wodne, omotawszy siecią swoją ziemię, przerabiają wnętrze gleby, ścierają i miela na papkę granitowe głazy, dostarczają żywności roślinom — nie próżnują daremnie... A przecież człowiek się chełpi, że w swej duszy posiada siły po stokroć wspanialsze i wyższe od siły wichrów i orkanów, czuje w swem sercu nurt życia głębszy od oceanów, a wzloty i porywy ducha mierzy skalą większą, niż ogień słońca i pożary gwiazdnych światów. Jakżeż taka siła, taka potęga miałaby zostać bezczynną! Jak możnaby pozwolić na zmarnowanie siły wiecznej?

Fala pracy nieustannej przelewa się z półkuli na półkulę globu, przepływa przez serce, tętna i żyły, ogarnia wszechświat... Niechaj ogarnia także duszę naszą i nieśmiertelne, wszystkie jej siły!

Na terenie duszy — bezrobocia nigdy niema!!

Gdy nie wiesz, jak puścić w ruch siły duszy — do pracy wiecznej, nieśmiertelnej — zrób z nią remont w specjalnym Zakładzie, któremu na imię Dom Rekolekcyjny.

Remont duszy jest najkonieczniejszy w czasach kryzysu Wiary — czy życia z Wfary.

Ks. X. X



ALFONS PIOTROWSKI.

## Wigilja pod dachem wroga.\*)

(Opowieść z dawnych czasów szlacheckich.)

Zerwała się straszna burza, miotająca śniegiem na wsze strony. Białe tumany, iskrzące się pysznie, wznosiły się w górę lekko i zgrabnie, jak w tanecznym ruchu, a potem opadały z nagłą skręconą, skamlać cicho niby pies obity. Przydrożne drzewa nachylały się niewolniczo, gnąc korony

\*) Podług Lucjana Siemieńskiego.

w kornym ukłonie przed dziko hasającym wietrzyskiem. Góra szumiało, huczało przeraźliwie, przelewało się jak morze wzburzone a zdradliwe, gałęzie przeciążone śniegiem łamały się z trzaskiem.

Otułony szczelnie w kożuch, nasunawszy czapę barania na całe uszy, pan Maciej Rębowski, dziedzic dwóch włości, siedząc w szerokich saniach, osypany śniegiem, niespokojnie w niebo patrzył.

— Nie szanuj koni, Bartku — mówił do woźnicy. — Przed pierwszą gwiazdą stanąć musimy w Rębowie.

Bartek nie przestawał popędzać koni, choć te bokami robiły, prychały ze zmęczenia, buchając przez rozszerzone nozdrza kłębami pary, a przecież dalej wciąż pędząc, dotykały nieledwo brzuchami pulchnego śniegu.

— Nie dojedziemy — odparł. — Zamieć blisko, ino patrzeć, jak świat nam z przed oczu zniknie!

W oddali huczało jak od grzmotu, wiatr świszcział przeraźliwie, trzaskał, jak parobek z bata. Jadąc środkiem traktu, na kilka kroków w bok rosnące drzewa ledwo co dojrzeć mogli. Z biedą oczy na chwilę dało się otworzyć, tak śniegiem sypało; aż dziw, że Bartek, trzymając w silnej dłoni lejce i nie folgując koniom, tak wprawnie je prowadzić umiał. Żadnej w pobliżu zagrody, w której w wypadku najgorszym dałoby się na chwilę zatrzymać.

— Ha! Bóg, co to na świat dziś ma przybyć, karę za winy nasze zsyła — mówił półgłosem do siebie Bartek. — Jeszcze ci świat bowiem nie słyszał, aby w on dzień tak wielgie wietrzysko wyło, jak stado chudych wilków, i śniegiem w oczy sypało, kieby piaskiem..

Przeżegnał się chłop i półgłosem odmawiał pacierze.

A pan Maciej, co to wciąż w niebo patrzył, zoczył nagle pierwszą gwiazdę i łza mu w oku stanęła. Martwił się srodze szlachcic, że w domu nie powitał onej gwiazdy, jak co roku zwykł czynić, lecz w głuchej pustyni śniegowej ją podziwiać musi. Pewno żona stroskana czeka na niego, dzieci ojca z utęsknieniem wyczekują, a tu szmat drogi jeszcze do przebycia, w okolicy żywego ducha. Możliwe nawet, że pobłądzili i nieprawidłową drogą dążą, co bardzo możliwe w tak okropnej zawiei.

— Bartku, niech konie same idą! Same nas poprowadzą, choćby do chaty pierwszej z brzegu, byle do ludzi.

Puścił Bartek luźno lejce, konie zwolniły trochę, ale szły pewniej; otucha wstąpiła panu Rębowskiemu do serca.

Jakoż i w samej rzeczy nie długo czekali. Zabłyśło różowe światółko w oddali, z echem przyleciały głosy psów zajadle naszczekujących.

Konie znowu puściły się rączym galopem. Po chwili stanęły przed jakimś dworem. W mroku zasłonięte kontury dworu czy nawet pałacu niełatwo dały poznać, czyjego on właściciela, lecz kiedy kończąc drogę topolami wysokimi wysadzoną, sanie znalazły się przed dworkiem okazałym, szlachcic się zdumiał i rozżłościł równocześnie. Zdumienie i złość nie pozwoliły mu słowa przemówić, ani z miejsca ruszyć. Bartek zaś, zatrzymawszy sanie, skoczył na ziemię i trzepiąc w oziębłe dłonie, rzekł:

— Chwalić Boga! Są ludzie, będzie kąt ciepły!

Na to opamiętał się dopiero pan Maciej i zawołał:

— Wracać! Pod tym dachem nie chcę Wilji spędzić! To dwór mojego wroga Onufrego Zakrzewskiego! Lepsza mi śmierć w polu!

Wracać jednak było zapóźno. Połyszawszy dźwięk dzwonek u sań, wyszedł tęgi, barczysty jegomość na ganek i głosem pełnym a ciepłym rzucił:

— Kogo to Bóg prowadzi?

Milczenie było mu odpowiedzią. Zaintrygowany, podszedł ku saniom i rzekł:

— Snać dziwni goście przybywają pod skromny dach mój, skoro na pytanie nie raczono mi odpowiedzieć.

Pan Rębowski jeszcze nie odpowiadając, czapkę baranią jedynie nacisnąwszy głębiej na oczy, i kołnierz poprawiwszy, nagle zdecydowanym krokiem wszedł na ganek, a zdziwiony gospodarz za nim.

Gdy znaleźli się wreszcie w jednym z pokoi, dziwny gość stanął, okrycie z głowy zdjął, kołnierz od kożucha wtył odrzucił i trochę drżącym głosem pozdrowił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

Teraz dopiero gospodarz ujrzał niespodziewanego gościa i stanął jak wryty; słowa ugrzęzły mu w krtani, a oczy mocno się rozwarły.

Chwilę tak stali naprzeciw siebie: obydwaj wrogowie zacięci od lat już wielu, dalecy wprawdzie sąsiedzi, lecz bliscy obopólną nieustępliwością i zagorzałą mściwością nieprzyjaciele, czego dowodem były kilkakrotne pojedynki i swary zgoła nieszlacheckie.

— Niebo waszność w ubogie progi moje zesłało! — rzekł wreszcie sucho, z odcieniem ukrytej ironji pan Onufry Zakrzewski.

— Nie poto, upewniam waszeć, przybyłem, aby stare porachunki wywlec na światło, lecz przygodny wypadek tak zrzadził — odparł spokojnie pan Rębowski.

Sztuczna to grzeczność była, która za lada podmuchem niestosownego słowa, które paść mogło, rozpląnęłaby burzliwym ogniem, którego płomyk już w ich duszach się zapalał.

Lecz stało się coś zgoła nieoczekiwanego; z dalszej izby doszły ich dziecięce głosy rozśpiewane:

„W żłobie leży, któż pobieży...“

I wtedy znagła pan Onufry chwyciwszy gościa pod ramię, rzekł już głosem ciepłym a szczerym:

— Będiesz bezpiecznym pod moim dachem, mości Rębowski. Taka snąc wola była Dziecięcia, żebyś w obcych a do tego wrogich ci progach Wilję spędził. Jeszcześmy kolacji nie jedli, zechciej z nami siąść przy stole. Gość w dom, Bóg w dom!

Podali sobie dłonie, wasa podkręcili i serdecznie w oczy spojrzeli.

— Nie żydy my, ani inksze pogany, mości Rębowski — rzekł pan Onufry — jeno fratres in Christo<sup>1)</sup>. Więc zgodę proponuję i o przyjaźń proszę.

— Święta prawda, mój sąsiedzie — odpowiedział pan Maciej. — Pogrzebmy w niepamięć nasze swary, bądźmy od dziś przyjaciółmi... Ręka Boga, na ten świat dziś przychodzącego, skierowała mnie pod dach waszmości, niech Jej za to będzie chwała...

Podeszli do pokoju stołowego, gdzie wieczerzę wigilijną miano podać. Pani Onufrowa, zajęta wydawaniem rozporządzeń służbie, nie dostrzegła wchodzących w pierwszej chwili, a dopiero głowę podniosła, gdy pan Zakrzewski głośno zawołał:

— Gościa wam prowadzę, przyjaciela serdecznego!

Wtedy pani Zakrzewska oczy szeroko rozwarła ze zdumienia. Widząc zaś uśmiechniętego męża, snąc domyśliła się wnet wszystkiego, bo podeszła ku gościowi.

— Witam waszmość u siebie z prawdziwa radością.

Ucałował ze czcią ręce gospodyni pan Maciej i opowiedział pokrótce, co go za wypadek tu zapędził. Pan Onufry zaś służbie polecił zaopiekować się końmi, zaprosić do izby czeladzkiej woźnicę Bartka i suto go ugościć.

A potem gospodarz przystąpił z opłatkiem do pana Rębowskiego. Łza rozrzewnienia zabłysła mu w oczach, gdy się tym symbolem zgody i przebaczenia łamali.

— Oto dobrodzieju mój, panie Macieju... — mówił wzruszonym głosem pan Onufry — in memoriam<sup>2)</sup> Narodzenia Chrysta Pana, podając ci dłoń moją o zgodę wieczystą po-

<sup>1)</sup> bracia w Chrystusie.

<sup>2)</sup> na pamiątkę.

między domami naszymi proszę... Exemplo<sup>3)</sup> tej wielkiej miłości Chrystusa naszego, co nas umiłował, my się miłować chcemy...

I tu zatkało szlachcicowi coś w gardle, co mu słów dokończyć nie pozwoliło; załkał pan Onufry, roztworzył nagle ramiona, w które wpadł pan Rębowski...

I długo, długo tak trwali, łzami się zalewając...

Zasiedli potem do stołu; pod białym jak śnieg obrusem leżało siano, na stole zaś dwie duże zarumienione od ognia strucle. Służba zaczęła znosić misy: przynoszono zupełną migdałową i barszcz z uszkami. Potem znalazł się szczupak z szafanem, ryż z podróbkami, kapusta z linem, ryby po lwowsku, placuszki z makiem, karp z miodownikiem, grzanki do oliwy i wina, ryby smażone i po nich gruszki gotowane z śliwkami i obwarzankami.

Gwarzono cały czas ochoczo i swobodnie. Nastrój był serdeczny.

• Gdy już powieczerali, powstał pan Maciej i gospodarzom powiedział, że odejść musi, bo żona i dzieci niespokojni będą.

— Tandem<sup>4)</sup>, mości gospodarzu, czas mi w drogę! Wdzięczny wam będę do zgonu i do tej chwili Opatrzność błagać będę, aby swojego błogosławieństwa dla was nie poskapiała....

Pożegnali się, ucałowawszy się serdecznie obaj szlachcice. Odprowadził pan Onufry gospodarza do sań. Wsiadł w nie pan Maciej, otulił się szczelnie w kożuch, a Bartek, uczyniwszy biczyskiem znak krzyża nad końmi, podciął je. Rozjęczały się dzwonki, konie zastrzygły uszami i radośnie zarżały, czem się ucieszył pan Maciej, przyjąwszy to jako dobry omen. Okiem rzucił raz jeszcze za siebie, spostrzegł na ganku stojącego tam pana Onufrego i jego żonę; ręką im skinął na pożegnanie.

Potem, gdy sanie znalazły się na drodze, spojrzął pan Rębowski w niebo i szepnął półgłosem:

— Deo gratias<sup>5)</sup> niech będzie po wsze wieki aż do skończenia świata za on dzień dzisiejszy, w którym na ziemi zeszedł Chrystus Pan w ludzkiej postaci i nauczał wszystkich wzajemnie się miłować!

<sup>3)</sup> wzorem.

<sup>4)</sup> wreszcie.

<sup>5)</sup> Bogu dzięki.

## Rekolekcje a ja!

Ćwiczenia te są znane i praktykowane przez wielu katolików: na całym świecie, w Polsce, szczególnie na Śląsku, bo:

**Rekolekcje zamknięte** — otwierają podwoje zbliżenia duszy do Boga. Dusza tęskni do Boga, ale różne zajęcia i sprawy tamują drogę, zamykają w głębi i nie pozwalają rozwinąć jej skrzydeł do lotu. My często nie liczymy się z potrzebami duszy — życia bożego w nas a głos sumienia wyrzucający błędy zagłuszamy rozrywkami, kinem, teatrem, kawiarnią itd. Nie zrywać łączności duszy z Bogiem, lecz pogłębiać nam trzeba!

**Rekolekcje zamknięte** — wnoszą radość życia. Gdy jesteśmy weseli na duchu i spokojni — jesteśmy zabezpieczeni od wszelkiego zła. Żadna przykrość nie będzie zdolna przynieść nas zupełnie do ziemi — potrafimy sobie to jakoś wytłumaczyć albo zdać się na wolę Bożą... Bo — jak to mówią — głową muru nie przebijesz. Więc rozpacz jest rzeczą zbędną, w przeciwnym razie pociągająca za sobą wielkie szkody duchowe. Szukajmy tej radości prawdziwej w Bogu!

**Rekolekcje zamknięte** — pogłębiają i wytwarzają miłość między chrześcijanami. Przykazanie miłości bliźniego jest największym przykazaniem, tak jak największą sztuką w życiu jest zgodne współżycie z najbliższymi. Nienawiść jednych do drugich, nawet między katolikami, panoszy się nad światem. Ona jest powodem nieszczęść, zarówno rodzin, jak też społeczeństw, państw i narodów. Nam trzeba miłości! O zdobycie miłości winniśmy starać się wszyscy. Nauczmy się kochać nie tylko przyjaciół i tych, którzy nam dobrodziejstwa wyświadczyli, lecz też obojętnych wobec nas osób, kochać nauczmy się przede wszystkim członków rodziny, członków stowarzyszeń, do których należymy itd., a dla nieprzyjaciół bądźmy życzliwi i wyrozumiali. Miłość tę jest zdolny rozpaść tylko Bóg.

**Rekolekcje zamknięte** — kształtują i rozbudowują w nas poglądy katolickie. Pierwsze wiadomości o Bogu zdobywamy w szkole. Dziecko jednak nie jest zdolne do głębszego rozumowania a więc do przejścia trudniejszych zagadnień religijnych i powiązania ich z praktycznym życiem. Wszelką wiedzę zdobywamy powoli z biegiem lat... Tak też i wiedzę religijną trzeba nam pogłębiać i rozwijać stale. Uświadczenie religijne winno iść zgodnie z wyrobieniem duchowym. Najbardziej dogodne warunki kształcenia w nas ducha chrześcijańskiego i apostolskiego stwarzają domy rekolekcyjne.

**Rekolekcje zamknięte** — znoszą przesadną obawę o przyszłość. Co to będzie dalej? — oto pytanie nie tylko jednostek,

lecz świata. Przyszłość tajemnicza zarówno uczonych, jak też prostaczków zajmuje i niepokoi. Poco się głowić nad tem, co jest nieosiągalne? Katolik wierzący wie, co go czeka w przyszłości, wie, że końcem smutków i radości będzie śmierć — a potem nowe życie — według zasług. Życie szczęśliwe osiągnąć — to cel... A środki — to praca, to cierpienia, to walka czy o kawałek chleba, czy o co innego. Innej drogi niema, próżne troski i mędrkowania. Wziąć to, co jest dane i iść... naprzód, a wzrokiem sięgać... wwyż — tego cię nauczą rekolekcje zamknięte.

**W Kokoszycach mogą odprawić rekolekcje zamknięte:**

1. Kongregacje Marjańskie od 28 listopada do 2 grudnia.
2. Panowie z inteligencji od 7 do 11 grudnia.
3. Matki Chrześcijańskie od 11 do 15 grudnia.
4. Nauczyciele od 27 do 31 grudnia.

---

## Z życia sodalicyjnego.

**Kongregacja Marjańska Panien w Mikołowie.**

Przed 30 laty — a więc w roku 1903 — zrealizowano u nas oddawna odczuwaną potrzebę zorganizowania polskich dziewcząt w organizację katolicką, a mianowicie w Kongregację Marjańską na wzór innych parafij. Z jak wielkim entuzjazmem powitały dziewczęta polskie tę inicjatywę — najlepszym dowodem był fakt, że w kilka tygodni po ogłoszeniu z ambony o zapisywaniu się do Kongregacji — 650 czcicielek Marji wstąpiło w zorganizowane Jej szeregi. Kilkaset młodych serc zaprzysięgło się na świętą służbę niebieskiej Królowej, obierając Ją „za swoją Panią, Orędowniczkę, Patronkę i Matkę“ na całe życie. Przybyło parafji nowe ognisko życia religijnego, zespół zorganizowanych dusz, dążących do wyrobienia wewnętrznego a tem samem do podniesienia poziomu duchowego parafji.

Zadania swe spełniała Kongregacja dobrze przez cały okres swego istnienia pod przewodnictwem dzielnych Księży Moderatorów. Pielęgnowanie życia duchowego wśród członkiń, wpajanie w ich dusze cnót Najśw. Marji Panny, wspólne nabożeństwa i Komunie św., adoracje, pielgrzymki, udział w Zjazdach Katolickich, pielęgnowanie śpiewu kościelnego, praca w sekcjach — oto program naszej działalności.

W dzień jubileuszu 30-lecia, który obchodziliśmy 10-go września b. r., serca nasze były radością — patrząc na dotychczasowy nasz dorobek. Święto nasze poprzedziły 3-dniowe nauki rekolekcyjne, które wygłaszał ks. Celestyn Rogowski z Zgromadzenia księży Salwatorjanów. W niedzielę miałyśmy

uroczystą Sumę w naszej intencji, podczas której wszystkie kongreganistki przystąpiły do Stołu Pańskiego. Popołudniu, po niesporach, odbyła się akademja, którą zaszczyliło swa obecnością całe miejscowe duchowieństwo oraz kilkadziesiąt kongreganistek-jubilatek. Na program akademji złożyły się deklamacje, śpiewy, sztuka teatralna „Ofiarna miłość“ i t. p. Najważniejszy punkt stanowiło przemówienie moderatora ks. Wrazidły, w którym dał krótki a wyczerpujący przegląd trzydziestoletniej działalności Kongregacji. Po skreśleniu historii Kongregacji wspomniał ks. Moderator o dziesiątkach kongreganistek, które poświęciły się służbie Bożej w życiu zakonem, dalej o setkach dzielnych matek, które wyszły z naszej Kongregacji, wreszcie o tych, które już przeszły do wieczności i tam odebrały zapłatę za wierną służbę Marji.

Kongregacja nasza przeżywała różne okresy — jasne i pochmurne czasem, więcej lub mniej sprzyjające jej rozwojowi, zwłaszcza w czasach wojennych i okresie powstań śląskich, kiedy życie Kongregacji jako stowarzyszenia polskiego nie mogło objawiać się na zewnątrz a tem samem rozwój jej był tamowany. Z tem większym zapałem mamy obecnie pracować nad sumiennem spełnianiem naszych obowiązków sodalicyjnych. Coprawda jest nas teraz licznie mniej, niż przed 30 laty, bo 430 kongreganistek, 65 aspirantek, ale tłumaczy się to tem, że wówczas do parafji naszej należało kilka wiosek, które obecnie są samodzielne parafjami (Podlesie, Piotrowice, Panewnik, Wiry, Łaziska Średnie i Gostyń). Z wszystkich tych miejscowości przybyły na naszą uroczystość delegacje Kongregacyj z sztandarami.

Obecnie Kongregacja nasza rozwija się pomyślnie pod kierownictwem ks. Jerzego Wrazidły. Co roku odbywamy 3-dniowe nauki rekolekcyjne, z których czerpiemy siły duchowe i zapał apostolski. Zebrania kościelne mamy regularnie co miesiąc, pozatem odbywają się raz na kwartał zebrania plenarne. Z dochodu z przedstawień przeznaczamy zawsze część dla najbiedniejszych dzieci, przystępujących do pierwszej Komunii św. Sodaliski pilnie korzystają z biblioteki, liczącej obecnie blisko 200 książek, a której założycielem był obecny biskup częstochowski, ks. dr. Kubina, który w roku 1908 był moderatorem naszej Kongregacji. Dla pogłębienia naszych wiadomości z religii odbywają się raz w tygodniu w Domu Związkowym wieczory dyskusyjne z zakresu apologetyki, dogmatyki czy historii Kościoła.

Dobrze i błogo nam jest w tej wielkiej rodzinie kongregacyjnej, gdzie setki serc w zgodzie, miłości i z zapałem pracują, pracować chcą i będą nad sobą, dla dobra bliźnich i na chwałę Bożą — a w której to pracy przyświeca nam jedna wielka idea: Cześć Marji!

---



## Jak powstało Apostolstwo Chorych?

Drodzy Chorzy! W wielu waszych listach było wyrażone życzenie, by opowiedzieć coś więcej o początkach Apostolstwa. Zupełnie słuszne to życzenie chcę dzisiaj wykonać i opowiedzieć o powstaniu Apostolstwa słowami samego założyciela, ks. J. L. Willenborga, proboszcza w Bloemendaal w Holandji. Miałem zaszczyt ubiegłego roku w lipcu być gościem jego i poznać go osobiście. Dziwnie miła, ujmująca, prostotą i weselem tchnąca jego postać jest jakby stworzona do tego, by wszystkim chorym, smutnym nieść pociechę i radość. O powstaniu Apostolstwa opowiada tak:

Było to na Zielone Świąta 1925 r. Zdarzyło się tak, że w tym czasie miało się odbyć zebranie duchowieństwa w sprawie ożywienia w parafjach ducha chrześcijańskiego, w szczególności w sprawie czci Najśw. Sakramentu. Wróciłem właśnie z pielgrzymki do Francji, byłem w Paray-le-Monial (miejsce objawień Najśw. Serca Jezusa, udzielonych św. Marji Małgorzacie Alacoque) i w Ars (miejsce działalności św. Jana Vianney) i widziałem, jak proboszcz w Ars odnowił całą swoją parafję, kładąc nacisk na dwie przedewszystkiem sprawy: Komunia święta dzieci i chorzy. To dało mi wiele do myślenia, kryła się w tem właśnie nasza idea...

W czasie mojej nieobecności ciężko zachorowała moja matka i umarła. Przed wyjazdem jeszcze mówiłem: „Gdy mama będzie w niebie, będzie pamiętać o mnie, pomagać mi.“ „Tak“ — odpowiedziała matka — „będę pomagać, o ile to będzie możliwe.“

W środę po Zielonych Świątkach, we Mszy św. czytałem w Piśmie św. o tem, jak chorych kładziono na drogi, któremi przechodził św. Piotr, jak znoszono ich zewsząd, by kłaść u stóp Apostołów. Pomyślałem: Czemuż my tego nie robimy? Posyłamy chorych do Lourdes, muszą odbywać długą kosztowną, kłopotliwą podróż. Tymczasem tak łatwo możnaby było ich zgromadzić w swoim parafjalnym kościele. Jakaby to była radość dla tych, którzy dłuższy czas nie byli w kościele. Te myśli tak jasno wyraziły się w mojej duszy, że pomyślałem sobie: Oto odpowiedź mojej matki.

Odniosłem się z tą sprawą do biskupa diecezji i uzyskałem pozwolenie na zajęcie się tą sprawą. Wieczorem było posiedzenie duchowieństwa. Początkowo nie miałem zamiaru zabierać głosu, teraz jednak postanowiłem powiedzieć zebranym o swoim planie i powiedziałem. Jedni przyjęli projekt ze zdziwieniem, inni wprost z radosnym zachwytem.

Zapowiedziałem z ambony, że w parafji odbędzie się triduum dla chorych. Zgłosiło się w pierwszym tygodniu 40 chorych, w drugim znowu 40, na samo triduum zebrało się już 120 chorych razem. Jedna mała dziewczynka chora chciała także koniecznie być w kościele. Lekarz nie pozwolił, Matka nie godziła się z tem: „Jakto, w naszej parafji ma być nabożeństwo dla chorych, a moja córeczka nie miałaby być na niem?“ I matka postarała się, że córeczka chora jednak była na triduum. Lekarz po wszystkim znowu był u nich, zbadał dziewczynkę i powiedział: „Co ja widzę? Córka pani jest uzdrowiona; może już teraz chodzić nawet do szkoły.“

Zebrałiśmy więc chorych w kościele. W pierwszym przemówieniu powiedziałem: „Drodzy chorzy! Wy teraz jesteście proboszczem tej parafji.“ Patrzyli na mnie zdziwieni. „Nie wierzycie? Tak jest, wy jesteście proboszczem parafji. Bo jako proboszcz mam mówić parafjanom, by chodzili do kościoła. przyjmowali Komunię świętą, ale oni to prędko zapominają. Teraz wy przez to swoje niezwykle przybycie tu do kościoła, swoim własnym przykładem uczycie ich, że trzeba przychodzić do kościoła, słuchać Mszy św., przyjmować Komunię św. Oni widzą to, słyszą to żywe kazanie, nie zapomną tego. Widzicie więc, że wy jesteście nawet więcej niż ja proboszczem.“ Widziałem, że chorzy byli zadowoleni. Widziałem, że chcą coś zrobić z wdzięczności za to. Oczy ich płonęły dziwnym ogniem. Powiedziałem tak: „To jest możliwe, możecie mi zrobić coś bardzo miłego. Za chwilę, gdy na Ofiarowanie podniosę patenę z hostją, połóżcie na tę patenę waszą chorobę, włóżcie wasze cierpienia do kielicha, na intencję mojej matki. Gdy hostja będzie konsekrowana, pomyślcie, że z nią razem będą konsekrowane wasze cierpienia i przemienione w cierpienia Chrystusa. Ufam, że dzisiaj matka moja będzie w niebie.“

Widziałem, że wszyscy tę myśl przyjęli i wszyscy ją wykonali. Na drugi dzień ofiarowali swe cierpienia za parafję, na trzeci dzień za Kościół.

Triduum przeminęło. Pomyślałem, że dobrzeby było nawiązać jakiś kontakt z tymi chorymi, którzy brali udział, zachęcić ich do ofiarowania znowu swoich cierpień. Możliwoby to było skutecznic przez okólnik, list miesięczny, utrzymałoby się tak ich w jedności, podtrzymałoby się ich dobre dyspozycje, które mieli w czasie triduum. Wspomniałem przy tem, że dobrze byłoby wysłać telegram do Ojca św., że chorzy ofiarują mu swe cierpienia. Przedstawiłem znowu

całą sprawę biskupowi. Sprawę listów biskup zatwierdził, co do telegramu powiedział, wspominając słowa Tomasza a Kempis, że lepszy jest ogień, niż dym ofiary. A nam potrzeba ognia — dodał.

W listopadzie 1925 r. ukazały się pierwsze listy miesięczne do chorych. Listy miały formę listu osobistego, krótkiego, na cztery strony tylko. Rozsyłano je w kopertach, jak list zwyczajny. Chory dostaje list pisany do niego, list, nie czasopismo, tygodnik, miesięcznik. List mówi o sprawach jego własnych, o cierpieniu, o podstawach Apostolstwa, wyjaśnia Mszę świętą, uczy chorego odprawiać ją codziennie przez swe cierpienie.

Liczba chorych, którzy przyjęli ideę Apostolstwa, szybko wzrastała, wkrótce w samej Holandji było 4000 członków. Skutek przewyższył wszelkie oczekiwania. Wzruszony tem powodzeniem, pisał czcigodny założyciel Apostolstwa w jednym ze swych listów miesięcznych:

„Naprawdę, Drodzy Moi Chorzy, żyjemy w czasach wielkiej łaski. Podobnie jak niegdyś naokoło Kalwarji cały świat był pogrążony w ciemnościach, a Chrystus na krzyżu umierał i składał ofiarę tego wielkiego cierpienia, które miało zbawić i uświęcić świat. A gdy tylko zostały wypowiedziane te słowa: Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego — ciemności poczęły ustępować miejsca światłu, które wreszcie mogło zajaśnieć. Tak jest i teraz. Dotąd cierpienie dla wielu było jakby zakryte w ciemnościach, to jest nie znali ani jego wartości ani jego znaczenia. Każdy pogrążał się we własnem cierpieniu, myślał tylko o ulżeniu sobie, albo usunięciu cierpienia, o niczem innem więcej. Oto przyszło zbawienie z łaski. Miłosierdzie Boże coraz więcej rozpędza te ciemne myśli, które chorym tylko smutek sprawiają i przygnębienie, na obliczach chorych jaśnieją promienie radości.

Każdego miesiąca, gdy przychodzi list miesięczny, każdego dnia, gdy odmawiają modlitwę Apostolstwa, gdy przez trzy godziny modlą się na wzajemne intencje, odczuwają siłę i moc tego światła, które ich wtedy nawiedza, pociesza, oświeca... „Teraz już nie sam cierpię, ale wraz z wielu innymi, którzy cierpią wraz ze mną i za mnie, jak ja z nimi i za nich także cierpię. Teraz już cierpienie moje nie jest bezużyteczne i bezowocne. Złożony chorobą na tem łożu — pracuję dla spraw Królestwa Bożego, a gdy przyjdzie życie oddać, pomyśle, że jestem ofiarą na ołtarzu, razem z Jezusem — razem w życiu, w cierpieniu i w śmierci...”

Tak było przed pięciu laty. Dzisiaj Apostolstwo Chorych rozszerzyło się daleko poza samą Holandją, już jest piętnaście sekretarjatów narodowych, a w nich około 50.000 chorych zjednoczonych. Nabożeństwa Eucharystyczne, zapoczątkowane w Bloemendaal, dzisiaj odprawiają się w wielu miejscach, ku wielkiej radości chorych i Jezusa, który ma możność zbliżyć się do Swoich najdroższych. Pierwszą rocznicę urzędowego wprowadzenia Apostolstwa w Polsce mogliśmy uczcić wydaniem polskiego podręcznika do nabożeństw Eucharystycznych dla chorych. Daj Boże, ażeby w jaknajwięcej parafjach w Polsce skorzystano z tego podręcznika i urządzano nabożeństwa dla chorych — na pożytek chorych i parafji, na chwałę Bożą i dla zbawienia dusz wielu.

Boskiemu Sercu Jezusa i Najśłodszemu Sercu Marji Niepokalanej oddaję was wszystkich i siebie i najserdeczniej pozdrawiam  
Ks. Rękas, Sekretarz Apostolstwa.

---

---

**Zakończenie Roku Świętego się zbliża!**

**Czy czytałeś już ?**

Ks. Józefa Czerneckiego

**Golgotę a życie dzisiejsze**

Stron 273 — Cena zł 4,50 — w oprawie zł 5,—

D o n a b y c i a

w Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A.  
Katowice, ulica Marsz. Piłsudskiego nr. 58

---

---

# Spis rzeczy

## „Głosu Misji Wewnętrznej“

Rocznik II (1933 r.)

### I. Artykuły zasadnicze.

	Str.
Na Nowy Rok . . . . .	1
Czy tak trudno być świętym . . . . .	6
Czy Chrystusowi dobrze jest w Polsce . . . . .	10
Od Nowego Roku — Nowy Chrześcijanin . . . . .	13
Armja Misji Wewnętrznej na front . . . . .	20
Po kolendzie . . . . .	33
Małżeństwo aż.. Sakramentem . . . . .	35
Kusiciel Chrystusa — i kusiciele nasi . . . . .	42
Pieniądz — a człowiek, który sprzedał Boga . . . . .	65
Wiek XX — wiek sierocy, a przytuliska dla dusz . . . . .	76
Żniwny czas . . . . .	98
„Trzeciego dnia zmartwychwstał“ . . . . .	109
Za naszą Gwiazdą przewodnią . . . . .	131
Kwiat Galilei . . . . .	135
Praca — święta, czy przeklęta . . . . .	138
Koronka do Ducha Św. . . . .	161
Tylko serce uratuje świat . . . . .	166
„Chcemy widzieć Jezusa“ . . . . .	179
Mali święci . . . . .	181
U źródeł Sodalicji (Kongregacji) . . . . .	183
Nie filozofia — ale — Cnota Wiary . . . . .	193
Co mądrzej — wierzyć — czy nie wierzyć? . . . . .	199
Wiara wielkich uczonych . . . . .	201
Cud św. Januarego . . . . .	205
Z postępem czasu . . . . .	212
Kropla miodu . . . . .	214
Św. Jacek hetmanem „Akcji Katolickiej“ i „Misji Wewnętrznej“ . . . . .	225
Życie z Wiary . . . . .	230
Legitymacja do nieba . . . . .	235
List pasterski J. E. Ks. Biskupa Adamskiego . . . . .	258
Czy Chrystus czy Lenin ma wychowywać przyszłą Polskę? . . . . .	263
Rola Inteligencji Sodalicyjnej w obronie Kościoła i Wiary . . . . .	270
Siew na roli — i siew na duszy Sodalicyjnej . . . . .	273

Gdy dzwoni sierp . . . . .	276
Boski imperializm . . . . .	293
Radosna służba . . . . .	298
Dlaczego Sodal'si i Sodaliski czczą Najśw. Marię Pannę? . . . . .	300
Bądź szlachetnym . . . . .	307
W sprawie odpustów „Misji Wewnętrznej“ . . . . .	322
Sztuka życia codziennego . . . . .	323
Święci byli także ludźmi . . . . .	327
Na falach czasu — ku Bogu . . . . .	333
Cóż jest człowiek? . . . . .	335
Z Niepokalaną, łaski pełną, a nie z „postępem“ po triumfy . . . . .	354
Małuczki narodził się nam . . . . .	366
„Misja Wewnętrzna“ na tle obecnych czasów . . . . .	368
Fala pracy a remont duszy . . . . .	373

## II. Owoce „Misji Wewnętrznej“ (Nawrócenia).

Triumfy naszej modlitwy „Misji Wewnętrznej“ . . . . .	23
Znany pisarz żydowski o swem nawróceniu . . . . .	62
Powrót na łono Kościoła . . . . .	62
Nawrócenia . . . . .	62
Dwa nowe nawrócenia w Stanach Zjednoczonych . . . . .	63
Nawrócenie się duchownego hodurowskiego . . . . .	96
Owoce „Misji Wewnętrznej“ . . . . .	149
Jak nawracać bezbożników? . . . . .	151
Głośne nawrócenie w Stanach Zjednoczonych . . . . . (okładka)	160
Roczne pokłosie „Misji Wewnętrznej“ . . . . .	186
Orka Boża . . . . .	217
Owoce „Misji Wewnętrznej“ . . . . .	312

## III. Rekolekcje.

„Panie, obym przejrzał...!“ . . . . .	51
Kasa oszczędności dla dusz . . . . .	79
Najdoskonalsze widzenie Pana Jezusa . . . . .	253
Katolicy! Do źródeł życiodajnych . . . . .	281
Głosy Matek i Mężów . . . . .	318
Przegląd Ruchu Rekolekcyjnego . . . . .	344
Rekolekcje a ja! . . . . .	380

## IV. Nowele — Opowiadania — Przykłady.

Straszliwe oskarżenie . . . . .	12
Owoce błędnie pojętej kultury . . . . .	18
Dobre lekarstwo przeciw plotkom . . . . .	31
Święto gromnic . . . . .	40
Krwawy wypadek z przeszłości — przestroga na dziś . . . . .	44
Do chorej . . . . .	53
Chrystus na ulicach naszych miast . . . . .	69

Czy Bóg opuszcza biedaka?	74
Potęga modlitwy	85
Dawniej a dziś	100
Pójdźmy za Nim	103
Staś — Apostołem Misji Wewnętrznej	114
Spowiedź w wagonie	120
Na nabożeństwo majowe wołają dzwony	145
W darze Królowej Apostołów	152
Taką ma być dusza człowieka	155
„...I odpuść nam nasze winy”	175
Kaplica w lesie	188
Doraźny Sąd Boży	208
Jeden z pasożytów	209
Podanie o garści pszenicy	216
Hałda	240
Len	244
Harfista z Sorentu	247
Róże	255
Z nad Wolgi	278
Pociecha więźnia	283
Różaniec w życiu wielkich ludzi	303
Bądź wola Twoja, Panie	309
Pamięci Matki	331
Na Dzień Zaduszny	338
W ręce Ojca	339
Ofiarna miłość Ojczyzny	342
Cud	363
Wigilja pod dachem wroga	375

#### V. Życie i prace Sodalicyj i Kongregacyj.

Sodalicje — czy Kongregacje?	48
Z życia Sodalicyj śląskich	91
Program prac Sodalicyj Marijańskich	289
Ze wspomnień Zjazdu Marjańskiego	314
Z życia sodalicyjnego	381

#### VI. Apostolstwo chorych.

O rekolekcjach dla chorych	81
Czy choroba to tylko nieszczęście	126
Dar pocieszania chorych	157
Chorzy! Możecie być... apostołami	190
Choroba a cierpliwość	222
Pokój chorego — świątynią	288
Październik a chorzy	319
Chorzy a dusze w czyśćcu	349
Jak powstało Apostolstwo Chorych?	383

**VII. Artykuły okolicznościowe.**

Na przelomie dwóch lat . . . . .	3
Z óplatką na powitanie Bożej Dzieciny . . . . .	353

**VIII. Różne.**

Na karnawał . . . . .	26
Radość życia . . . . .	73
Twoja prawdziwa przyjaciółka . . . . .	86
Kursy dożywiania dusz . . . . .	89
Czy przyjdą? . . . . .	125
Koronka do Ducha św. . . . .	163
A i ja chcę zdobyć wielkość . . . . . (okładka)	236
Królewska Huta znowu górą! . . . . .	347
„Za głosem Marii“ . . . . .	352

**IX. Wiersze.**

Fragmęty . . . . .	95
Bądź człowiekiem . . . . .	102
Skowronek . . . . .	108
Najprzewielebniejszy Arcypasterzu . . . . .	130
Do pracy . . . . .	144
Królowej ludu . . . . .	148
Błogosławiony . . . . .	346

**X. Czytelnicy o „Głosie Misji Wewnętrznej“.**

Nowy hold serc dla „Głosu Misji Wewn.“ . . . . .	57
„Głos Misji Wewnętrznej“ „rzuca kwiaty w szare dnię życia“ . . . . .	60
Na pięknych drogach propagandy za „Głosem Misji Wewnętrznej“ . . . . .	118
Ślązacy — czy damy się zawstydzić? . . . . .	219

**XI. Ze świata.**

str. . . . .	32. — 61 — 96 — 128. — 160 — 192 (okładka)
--------------	--

